

December 1955 • 35 Cents

# *Astounding* **SCIENCE FICTION**



**Sand Doom** BY MURRAY LEINSTER

Murray Leinster

# Piaszczysta zagłada

## (Sand Doom)

Astounding Science Fiction, December 1955.

Tłumaczenie: Witold Bartkiewicz © Public Domain

Ilustracje: Freas

Oryginał tekstu i ilustracje zaczerpnięto z wydania Projektu Gutenberg.

© Public Domain

This text is translation of the novelette "Sand Doom" by William Fitzgerald Jenkins (Murray Leinster), published by Project Gutenberg, August 31, 2007 [EBook #22467]

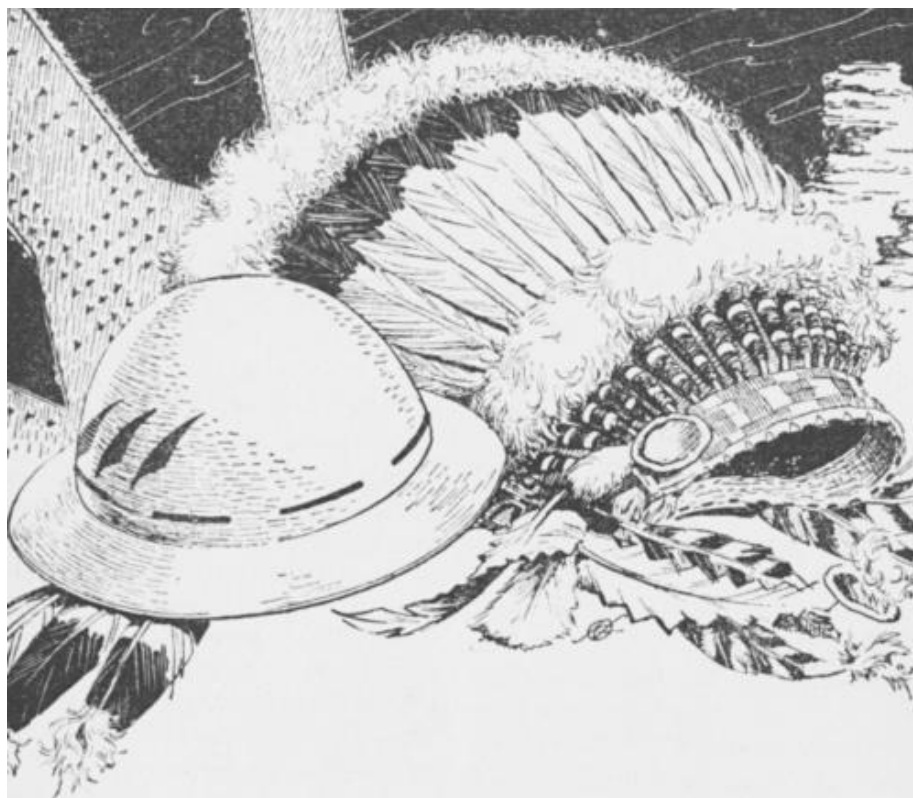
According to the included copyright notice:

"This etext was produced from Astounding Science Fiction December 1955. Extensive research did not uncover any evidence that the U.S. copyright on this publication was renewed."

It is assumed that this copyright notice explains the legal situation in the United States. Copyright laws in most countries are in a constant state of change. If you are outside the United States, check the laws of the appropriate country.

Translation by Witold Bartkiewicz, Copyright for the translation is transferred by the translator to the Public Domain.

This eBook is for the use of anyone anywhere at no cost and with almost no restrictions whatsoever.



**J**uż w chwili kiedy statkiem zaczęły wstrząsać dotkliwie nieprzyjemne wibracje i poczuł uderzenia ciągu odpalanych rakiet, Bordman zorientował się, że dzieje się coś złego. Ponieważ w dzisiejszych czasach rakiety stały się urządzeniami wykorzystywanymi wyłącznie w sytuacjach alarmowych, tak więc ich użycie oczywiście musiało oznaczać jakiś nagły wypadek.

Nadal jednak siedział spokojnie na miejscu. Właśnie oddawał się lekturze w salonie pasażerskim *Warlocka* — był to tak prawdę mówiąc bardzo mały salon — ale jako wyższy funkcjonariusz Misji Kolonialnej<sup>1</sup>, był dostatecznie doświadczonego obieżyświatem, aby wiedzieć kiedy sprawy nie idą dobrze. Jego wzrok nieustannie unosił się sponad ekranu książki, w oczekiwaniu na dalszy rozwój wypadków. Nikt jednak nie pojawiał się, z żadnymi wyjaśnieniami na temat tak dziwnego zdarzenia, jak fakt że statek kosmiczny musiał użyć rakiet. Na regularnym liniowcu, reakcja załogi byłaby niemal natychmiastowa, ale *Warlock* był praktycznie trampem. Podczas tej podróży przewoził na pokładzie jedynie dwójkę pasażerów. Transport pasażerski, dla planety, która była ich najbliższym

---

<sup>1</sup> W oryginale Colonial Survey. Zachowałem tłumaczenie Joanny Grabarek, z opowiadania „Misja badawcza” („Exploration Team”), zamieszczonego w antologii „Stare dobre czasy” pod redakcją Gardnera Dozois, Prószyński i Ska, 2001. Opowiadanie to, podobnie jak bieżące, wchodzi w skład cyklu Leinstera „Colonial Survey”, tak więc mowa jest o tej samej instytucji.

celem, nie został jeszcze zatwierdzony, i nie będzie, dopóki Bordman nie sporządzi raportu, do którego właśnie się przygotowywał. W tej chwili jednak ponownie poczuł szarpnięcie odpalanych rakiet, na chwilę ciąg ustał, a potem kolejne uderzenie. Definitywnie działo się coś bardzo niedobrego.

Drugi pasażer *Warlocka* wyszedł ze swojej kabiny, Wyglądała na kompletnie zaskoczona całą sytuacją. Nazywała się Aletha Czerwone Pióro, i była niezwykle urody Indianką. Nadzwyczajne było, że dziewczyna w czasie tej nudnej podróży kosmicznej mogła być tak samowystarczalna i niekłopotliwa, co Bordman wielce sobie chwalił. Udawała się na Xosa II, jako reprezentantka Towarzystwa Historycznego Amerindów, i zabrała ze sobą własne szpule z książkami i jakąś strasznie skomplikowaną robótkę ręczną, którą — jak to kobieta — zajmowała sobie ręce. Nie okazywała żadnych oznak niepokoju. Spoglądając pytająco na Bordmana, przechyliła lekko głowę na jedną stronę.

– Też się zastanawiam, co się tam dzieje – powiedział jej dokładnie w chwili gdy szczególnie długotrwała i gwałtowna wibracja impulsu raketowego, aż zagrzechotała nogami jego krzesła.

Przez dłuższą chwilę mieli trochę spokoju. Potem jednak poczuli kolejne gwałtowne, ale dużo krótsze szarpnięcie. Następnie kolejne jeszcze krótsze. Niemal natychmiast kolejne półsekundowe pchnięcie, najwidoczniej pochodzące tylko z jednej dyszy, ponieważ wygenerowało dosyć łagodne wstrząsy. Po jego zakończeniu, kolejnych już nie było.

Bordman zmarszczył brwi, próbując jasno pomyśleć. Wcześniej przypuszczał, że lądowanie na powierzchni planety powinno być tylko kwestią kilku godzin. Dlatego właśnie, uważnie przejrzał swoje materiały i odświeżył informacje na temat prac jakie miał skontrolować na Xosa II. Była to zupełnie normalna i często spotykana planeta, o gospodarce nastawionej przede wszystkim na wydobycie minerałów, i jak oczkiwał powinna otrzymać ocenę PZ — w Pełni Zagospodarowana — a prawdopodobnie również PT i NK, co oznaczało pozwolenie na wjazd turystów, bez konieczności odbywania kwarantanny. Biorąc pod uwagę suchy klimat planety, nie oczekiwał by występowały na niej jakieś zagrożenia bakteriologiczne, i jeśli tylko turyści mieliby ochotę oglądać monstrualne pustynie i przywodzące na myśl piekielne katusze, skalne rzeźby wietrzne — nie widział powodu, żeby nie mogli być mile widziani.

Statek jednak użył napędu raketowego w najbliższym sąsiedztwie planety. Nagły wypadek. To było śmieszne. Podróż należała do gatunku w pełni rutynowych. Jej celem było dostarczenie ciężkiego wyposażenia — przede wszystkim pieca hutniczego — i wyższego oficera Misji Kolonialnej, który miał zatwierdzić zakończenie wstępnego etapu zagospodarowania planety.

Aletha czekała przez chwilę, jak gdyby na kolejne odpalenia rakiet. Zaraz jednak uśmiechnęła się do jakiejś myśli, która przyszła jej do głowy.

– Gdyby to był film przygodowy – powiedziała z humorem, – teraz usłyszelibyśmy głośnik, oznajmiający, że statek wszedł na orbitę wokół dziwnej nieznannej planety, którą po raz pierwszy zobaczono trzy dni temu, oraz że potrzebni są ochotnicy, którzy wyładują na dole szalupą.

Bordman zapytał z niecierpliwością:

– Naprawdę ogląda pani filmy przygodowe? Przecież one nie mają najmniejszego sensu! Czysta strata czasu!

Aletha ponownie się uśmiechnęła:

– Moi przodkowie – odpowiedziała mu, – mieli w zwyczaju urządzać szczepowe tańce, uprawiać czary i przechwalać się jak wiele zdobyli skalpów, i w jaki sposób tego dokonali. To sprawiało im satysfakcję – i miało walory edukacyjne dla młodego pokolenia. Młodzieńcy zapoznawali się z ideą tego, co obecnie nazywamy przygodą. Kiedy więc faktycznie ją napotkali, byli do niej już częściowo przygotowani. Podejrzewam, że pańscy przodkowie opowiadali sobie historie o polowaniu na mamuty, i podobnych sprawach. Tak sobie więc myślę, że zabawne byłoby usłyszeć, że weszliśmy na orbitę i mamy przygotować się do lądowania w łodzi.

Bordman chrząknął. Nie było już przygód. Wszechświat został zasiedlony; ucywilizowany. Oczywiście ciągle istniały planety pograniczne – jedną z nich była Xosa II – ale pionierom przytrafiały się jedynie niewygody. Nie przygody.

\*\*\*\*\*

Głośnik systemu łączności wewnętrznej statki kliknął. Szorstko wygłosił:

– *Uwaga. Przybyliśmy na Xosa II i weszliśmy na orbitę wokół planety. Lądowanie odbędzie się przy pomocy łodzi.*

Bordman niezbyt mądrze wyglądał z ustami rozdziawionymi jak szeroko.

– Co to u diabła ma znaczyć? – zapytał.

– Być może to przygoda – powiedziała Aletha. Gdy uśmiechała się, wokół jej oczu powstawały bardzo sympatyczne zmarszczki. Założyła współczesny strój Amerindów – oznakę dumy z dziedzictwa, które w obecnych czasach miało poważny wpływ na tak rozmaite dziedziny, jak montaż międzygwiazdnych konstrukcji stalowych, gospodarka zwierzęca czy kolonizacja planet pustynnych. – Jeżeli to miałyby być przygoda, jako jedyna dziewczyna na statku muszę być w zespole lądującym, aby podczas nudnego oczekiwania na orbicie nie wzbudzać – jej uśmiech rozciągnął się od ucha do ucha – gwałtownego fermentu wśród kłopotliwych elementów w załodze.

Głośnik statku kliknął ponownie.

– Panie Bordman. Panno Czerwone Pióro. Zgodnie z informacjami z dołu, statek być może będzie musiał przez dłuższy czas pozostać na orbicie. W związku z tym, wylądujecie państwo promem. Prosimy aby państwo przygotowali się i zgłosili do komory promu. – Głos na chwilę przerwał, ale zaraz dodał: – Wyłącznie ręczny bagaż, proszę.

Oczy Alethy pojaśniały. Bordman poczuł zaszokowane niedowierzanie człowieka przyzwyczajonego do rutyny, która zostaje ona rozbita w stopniu trudnym do wyobrażenia. Oczywiście statki badawcze wykonują

lądowania z orbity przy użyciu łodzi, a statki kolonialne opuszczają na raketach roboty, jednak tylko do chwili kiedy nie zostanie zbudowana sieć lądownicza, która może zająć się samym statkiem. Nigdy jednak dotąd, w całym swoim długim doświadczeniu, nie spotkał się z przypadkiem, by zwykły frachtowiec, podczas rutynowej podróży do kolonii przygotowanej do końcowego przeglądu w celu uzyskania stopnia ostatecznego zatwierdzenia, musiał wysłać pasażerów na powierzchnię łodzi.

– To śmieszne! – rzucił Bordman z wściekłością.

– Być może to jednak przygoda – powiedziała Aletha. – Idę się spakować.

Znikła w swojej kabinie. Bordman zawahał się przez chwilę. Potem również udał się do własnej. Kolonię na Xosa II założono dwa lata temu. Minimalne warunki komfortu zostały zapewnione już po sześciu miesiącach. Tymczasowa sieć lądownicza dla lekkich statków dostawczych była gotowa po roku. Pozwoliła ona na szybkie nagromadzenie większej ilości materiałów i wkrótce rozbudowano ją do stałej sieci, wystarczającej do wszelkich możliwych zastosowań. Osiem miesięcy, jakie upłynęło od lądowania ostatniego statku, całkowicie wystarczyło do zbudowania gigantycznej pajęczej konstrukcji, o wysokości pół mili, która była w stanie poradzić sobie z całym handlem międzygwiazdnym tej planety. Nie było żadnego wytłumaczenia dla tej dziwnej sytuacji! Lądowanie przy użyciu łodzi było po prostu nonsensem!

Przejrzał jednak zawartość swojej kabiny. Większość ładunku *Warlocka* stanowiło wyposażenie pieca hutniczego, który miał uzupełnić sprzęt kolonii. Powinno ono zostać rozładowane jako pierwsze. Do czasu całkowitego opróżnienia ładowni statku, piec powinien już działać. Statek miał poczekać na pełny ładunek surówki metalowej. Bordman oczekiwał, że podczas prac nad przeglądem, który miał do wykonania, będzie mieszkał w tej kabinie, a potem wróci razem ze statkiem.

Teraz miał polecieć na dół, i to promem. Nieco go to strapiło. Jedynym wyposażeniem awaryjnym, jakiego prawdopodobnie mógłby potrzebować był skafander termiczny. Wątpił jednak w pilną potrzebę jego użycia. Spakował jednak trochę ubrań do wyjścia na zewnątrz, a potem buntowniczo dodał jeszcze swoje materiały i grube tomiszczą zawierające dane normatywne, do których zawsze odwoływały się specyfikacje regulacji i postanowień kolonialnych. Miał zamiar przystąpić do prac nad raportem natychmiast po wylądowaniu.

Wyszedł z salonu pasażerskiego w kierunku komory łodzi. Z jej włazu wystawały nogi inżyniera. Wycofywał się właśnie rakiem, trzymając pasek taśmy z komputera pokładowego. Porównywał go zawzięcie z podobnym paskiem z maszyny obliczeniowej statku. Bordman świadomie zachował się zgodnie z najlepszymi tradycjami pasażerów.

– W czym problem? – zapytał.

– Nie możemy wylądować – krótko odparł inżynier.

Odszedł — również zgodnie z tradycją, według której załogi statków zawsze zachowują się pogardliwie wobec pasażerów.

\*\*\*\*\*

Bordman powiódł za nim groźnym wzrokiem. Wkrótce pojawiła się Aletha, niosąc niezbyt ciężką torbę. Bordman włożył ją do łodzi, z dezaprobatą przyglądając się ciasnocie panującej we wnętrzu pojazdu. To jednak nie była nawet szalupa ratunkowa. To był zwykły lądownik. Szalupy ratunkowe wyposażone są w napęd Lawlora i mogą pokonać całe lata świetlne, ale zamiast rakiet i paliwa raketowego mają układy oczyszczania powietrza, odzyskiwania wody i magazyny z żywnością. Nie są w stanie wylądować bez sieci lądowniczej, ale za to mogą dolecieć do cywilizowanej planety. Ten lądownik mógł znaleźć się na dole bez sieci lądowniczej, ale jego zapasy powietrza nie starczały na zbyt długo.

– O cokolwiek tu chodzi – ponuro powiedział Bordman do siebie, – musi kryć się za tym czyjaś niekompetencja!

Nadal jednak nie mógł tego do końca zrozumieć. To był statek towarowy. Statki towarowe nie startują, ani nie lądują o własnych siłach. Kosztowałoby to zbyt dużo paliwa, które przecież musiały przewozić sobie same. A więc do wynoszenia statków w przestrzeń kosmiczną stosowano sieci lądownicze wykorzystujące miejscową energię — która nie musiała być transportowana na orbitę — i ponownie wykorzystywały miejscową energię do sprowadzania ich na ziemię. Dlatego statki zabierały ze sobą paliwo jedynie na sam lot kosmiczny, co było dużo bardziej ekonomiczne. Sieci lądownicze nie miały żadnych ruchomych elementów, chociaż były monstrualnymi konstrukcjami, ściągającymi energię z jonosfery planety. A więc skoro nie miały one żadnych ruchomych części, które mogłyby ulec złamaniu oraz biorąc pod uwagę faktyczny brak możliwości zniszczenia źródła zasilania — sieć lądownicza po prostu nie mogła ulec żadnej awarii! W konsekwencji niemożliwy był więc żaden nagły wypadek, który zmusiłby statek do krążenia po orbicie wokół planety wyposażonej w sieć lądowniczą!

Inżynier powrócił. Przyniósł ze sobą worek pocztowy pełen taśm z listami. Już z daleka machnął na nich ponagłająco ręką. Aletha wczłogała się do wjazdu lądownika. Bordman udał się za nią. W małym stateczku zmieściłaby się czwórka ciasno stłoczonych ludzi. Trójka wypełniała go już w całkiem poważnym stopniu. Inżynier wszedł jako ostatni i uszczelniał właz.

– Uszczelniony – powiedział do mikrofonu znajdującego się przed jego ustami.

Wskazówka ciśnienia zewnętrznego przesunęła się na pół drogi w dół skali. Ciśnienie wewnątrz statku pozostało bez zmian.

– Wszystko szczelne – powiedział inżynier.

Wskazówka ciśnienia zewnętrznego spadła raptownie na zero. Rozległ się metaliczny szczęk. Długie połowy pokrywy komory łodzi ruszyły na boki, powoli się otwierając, i nagle lądownik znalazł się w podłużnym zagłębieniu w pancerzu kadłuba, a nad nim połyskiwało mrowie gwiazd. Zza kadłuba wpłynął w ich pole widzenia olbrzymi dysk pobliskiej planety. Był naprawdę monstrualny i oślepiająco jasny. Na jej tarczy dominował

brązowawy kolor, z wielkimi, nieregularnymi żółtymi obszarami, poznaczonymi niebieskawymi łatami. W większości przypadków były to różnokolorowe piaski. Wszystkie kolory dysku planety mieniły się różnorodnymi odcieniami — niektóre miejsca były jaśniejsze, inne ciemniejsze — a w górnej jego części, tuż przy samej krawędzi błyszcząca w oczy oślepiająca biel, która nie mogła być niczym innym, tylko czapą lodową. Bordman jednak wiedział, że na całej planecie nie było morza, ani oceanu ani nawet jeziora, a czapa lodowa była raczej niemal szronem, a nie grubym na milę lodowcem, jaki zazwyczaj można znaleźć na biegunach światów zapewniających bardziej komfortowe warunki klimatyczne.

– Zapnijcie się – powiedział inżynier przez ramię. – Przez moment będziemy w stanie nieważkości, a potem mamy pchnięcie ciągu raketowego. Ustawcie zagłówki swoich foteli.

Bordman ze zdenerwowaniem przypiął się pasem. Widział, że Aletha zajęła się tym samym zadaniem, z jaśniejącymi oczyma. W pewnej chwili, bez najmniejszego ostrzeżenia, pojawiło się uczucie dotkliwego dyskomfortu. Łądownik odłączył się od transportowca i poczuł osłabienie ciasno opinającego ich pola sztucznej grawitacji statku. Nagle pole zupełnie zanikło i Bordman poczuł chwilowy zawrót głowy, jaki zawsze powoduje zawirowanie grawitacji. Jednocześnie serce zatrzepotało mu mocno w klatce piersiowej, w zakodowanej w pamięci genetycznej, instynktownej reakcji na uczucie spadania.

W tym momencie ryknęły silniki. Siła ciągu wepchnęła go gwałtownie w fotel. Język próbował wślizgnąć mu się z powrotem do gardła, a klatka piersiowa została ściśnięta przez nieznośny ciężar. Stwierdził, że zaczyna wpadać w panikę, jak nowicjusz.

Jednocześnie wizjery pokryły się ochronną czernią, ponieważ wyszli z cienia statku. Łądownik odwrócił się — w ogóle nie poczuł działania siły odśrodkowej — i znaleźli się w głębokiej ciemności, z ledwie widocznym cieniem przydymionej powierzchni planety. Jednak znajdujące się za nimi niebiesko - białe słońce świeciło straszliwie. Jego promieniowanie było ciepłe, a nawet gorące, pomimo że docierało do nich przez polaryzujące osłony wizjerów.

– Czy... czy nie wspominał pan czasami czegoś o tym – wysapała ze szczęściem Aletha nie mogąc złapać oddechu z powodu przeciążenia – że przygody podobno już się nie zdarzają?

Bordman nie odpowiedział. Osobiście, nie myliłby jednak przygody z niewygodą.

\*\*\*\*\*

Inżynier nie miał czasu aby wyglądać przez wizjery statku. Obserwował znajdujący się przed nim ekran. Cały bok podświetlonego dysku przecinała pionowa linia. Wzdłuż niej stopniowo ku dołowi ekranu poruszał się punkt, wskazujący ich wysokość w tysiącach mil. Po pewnym czasie punkt



dojechał do dolnego krańca linii, która zmieniła się w podwójną, a wzdłuż niej zaczął zsuwać się kolejny punkt. Ten mierzył wysokość w setkach mil. Na drugim boku ekranu pojawiło się jasny obszar — kwadrat. Jakiś metaliczny głos wymamrotał kilka słów, nagle odezwał się głośniejszy, jakby pokrzykując, a potem ponownie zaczął mrużyć. Bordman wyjrzał przez jeden z ciemnych wizjerów i zobaczył planetę, która wyglądała jakby oglądana przez przydymione szkło. Sprawiała wrażenie czegoś upiornego, czerwonego, wypełniając sobą niemal połowę kosmosu. Cała jej powierzchnia poznaczona była cętkami. Brzegi wyraźnie się zaokrąglają. To musiał być horyzont.

Inżynier poruszył przyrządami sterującymi i biały kwadrat nieco się przesunął. Ruszył w poprzek ekranu. Pilot dotknął kolejnych przyrządów i kwadrat ustabilizował się w centrum. W międzyczasie punkt wskazujący wysokość w setkach mil, ponownie znalazł się na samym dole i pionowa linia zmieniła się w potrójną, a w dół ekranu popęzła wskaźnik wysokości w dziesiątkach mil.

Nagle lądownikiem zaczęło gwałtownie rzucać. Uderzył w skrajny brzeg zewnętrznych warstw atmosfery. Z ust inżyniera wydobyły się słowa zdecydowanie nieodpowiednie dla uszu Alethy. Szarpnięcia stawały się coraz gwałtowniejsze. Bordman trzymając się kurczowo fotela — w przeciwnym razie rozleciałby się chyba na kawałki, pomimo zapiętych pasów — wpatrywał się na przyciemnioną powierzchnię planety. Zdawało się jakby uciekała przed nimi, a oni próbowali ją dogonić. Stopniowo, bardzo powoli, lądownik zaczął zwalniać. W międzyczasie zeszli już wysokość dwudziestu mil.

Zupełnie niespodziewanie, lot lądownika ustabilizował się. Kwadratowa plama lekko jedynie poruszała się w pobliżu środka ekranu astrogacyjnego. Inżynier delikatnie manipulował przyrządami sterowniczymi, aby ustabilizować ją zupełnie i utrzymać w jednym miejscu.

Wizjery nieco się rozjaśniły. Bordman dużo wyraźniej mógł zobaczyć rozciągającą się pod nimi powierzchnię ziemi. Poznaczona była łatami we wszystkich możliwych odcieniach, jakie tylko mogły dać kolory różnorodnych minerałów. Widać było olbrzymie łachy płowego piasku. W chwilę później pojawiły się cienie gór. Zauważył, że pomiędzy ich zboczami, tam gdzie normalnie powinny znajdować się urwiste doliny, widoczne były zamiast nich płowe płaskie obszary. To, jak wiedział, były piaszkowe płaskowyże, które można było zobaczyć wyłącznie na tej planecie, a wyjaśnienie ich powstania ciągle pozostawało przedmiotem zażartych dyskusji i sporów. Oprócz piasku dostrzegał również obszary błyszczącej żółci, brudnej bieli, rozbryzgi różowego, smugi ultramaryny, szarości i fioletu, oraz łaty niewiarygodnie intensywnej czerwieni tlenku żelaza, pokrywającego całe mile kwadratowe terenu — olbrzymie niemal nie do uwierzenia.

Rakiety lądownika umilkły. Teraz leciał wyłącznie siłą bezwładu. Niemal natychmiast horyzont zakołysał się, cała mieniąca się różnymi kolorami ziemia powolnym ruchem zakręciła się pod nimi. Z głośnika komunikatora dobiegło całe staccato różnych instrukcji, natychmiast wykonywanych przez inżyniera. Lądownik ślizgał się przez jakiś czas nisko nad ziemią —

poniżej poziomu szczytów gigantycznych różowoliliowych gór, za którymi znajdował się piaskowy płaskowyż — a potem jego dziób poszedł w górę. Pilot nieco go przeciągnął.

Wtedy jednak ponownie ryknęły rakiety — teraz w gęstym powietrzu i po chwilowej przerwie wydawały się być przeraźliwie głośnie — i lądownik opadał w dół, coraz niżej, na kolumnie ognia wyrastającej z rufy.

Dokoła kotłowała się całkowicie nieprzejrzysta masa pyłu i oparów paliwa rakietowego, uniemożliwiająca zobaczenie czegokolwiek. W pewnej chwili rozległ się chrupiący trzask i inżynier ze złością zaklął pod nosem. Ponownie wyłączył rakiety. Tym razem już na dobre.

\*\*\*\*\*

Bordman stwierdził, że spogląda prosto w górę, mimo że nadal jest przypięty pasem do swojego fotela. Lądownik usiadł na płatach ogonowych, tak więc jego stopy znajdowały się w tej chwili wyżej niż głowa. Poczł się dosyć głupio. Zauważył, że inżynier jakoś się już odpiął i zabrał się za swoją robotę. Wzmógł więc wysiłki, ale wydostanie się z fotela okazało się absurdalnie trudną sprawą.

Alecie udało się to zrobić dużo zgrabniej. Nie potrzebowała żadnej pomocy.

– Poczekajcie – burknął niegrzecznie inżynier, – aż ktoś po was przyjdzie.

Czekali więc, używając oparcie foteli jako siedzeń.

Inżynier przesunął jakiś przełącznik i okno rozjaśniło się jeszcze bardziej. Zobaczyli w końcu powierzchnię Xosa II. W zasięgu wzroku nie było widać żadnej żywej istoty. Sam grunt był jałowy i kamienisty, dookoła pełno było niewielkich skał i leżących głazów — wyraźnie stoczyły się ze zboczy wspaniałych gór, rozciągających się po jednej stronie lądowiska. Były to olbrzymie wielokolorowe ściany opadające z płaskowzgórzy, całe starte i ponadżerane, niewątpliwie przez erozję wietrzną. Poprzez rozcięcie w znajdującej się przed nimi ścianie gór, widać było dziwną, wachlarzowatą, jakby zamarznąłą formację skalną. Gdyby to było do pomyślenia, Bordman powiedziałby, że to strumień piasku udający wodospad. Zewsząd lała się oślepiająca jasność i uczucie parzącej wręcz powodzi światła słonecznego. Jak okiem sięgnąć nie było widać nawet pojedynczego liścia, gałązki, czy też źdźbła trawy. To była prawdziwa pustynia. To była Xosa II.

Aletha podziwiała widok z rozjarzonymi oczyma.

– Pięknie! – powiedziała ze szczęśliwą miną. – Nieprawdaż?

– Osobiście muszę powiedzieć – powiedział Bordman, – że nigdy chyba nie widziałem miejsca, które wyglądałoby mniej przyjaźnie i atrakcyjnie.

Aletha roześmiała się.

– W moich oczach wygląda tutaj zupełnie inaczej.

Co było prawdą. W obecnych czasach przyjmowano, że rodzaj ludzki stanowi jeden gatunek, ale o wielu rasach, z których każda postrzegała

kosmos na swój własny sposób. Na Kelmet III dominowało gęste zaludnienie, przeważnie pochodzenia azjatyckiego, tak więc jego mieszkańcy dla celów rolniczych pokryli zbocza swoich gór terasami i zręcznie przemieszali nowoczesną technologię ze zwyczajami społecznymi nie spotykanymi — powiedzmy — na Demeter I, gdzie dla odmiany można było znaleźć wiele miasteczek pełnych płytek z czerwonego stiuku i mnóstwo gajów oliwnych. Na stepowych planetach skupiska Equis, Amerindowie — tacy jak Aletha — z zamiłowaniem podróżowali konno poprzez równiny pocętkowane potomkami bawołów, antylop i bydła, przywiezionymi ze starożytnej Ziemi. W oazach na Rustum IV rosły palmy daktylowe, jeżdżono na wielbłądach i większość dyskusji dotyczyła tematu jaki kierunek należy wybrać podczas modlitwy zamiast kierunku do Mekki, podczas gdy obszary Canna I pokryte były polami pszenicznymi, a wysoce cywilizowani emigranci z kontynentu afrykańskiego na Ziemi, gromadzili w magazynach swojego miasta otaczającego port kosmiczny Timbuk, kauczuk i błyszczące klejnoty.

Było więc całkiem naturalne, że Aletha patrzyła na to porzeźbione przez wiatr pustkowie zupełnie inaczej, niż robił to Bordman. Jej rasowi współplemieńcy byli pionierami tych czasów i zdobywcami gwiazd. Ich dziedzictwo powodowało, że zupełnie nie cenili sobie życia miejskiego. Co prawda wrodzony im brak lęku wysokości, uczynił ich ludem budowniczych konstrukcji stalowych w kosmosie, i ponad dwie trzecie sieci lądowniczych w całej galaktyce, na kluczowych podporach i belkach, sygnowane było symbolami ich piór. Ale rząd planetarny na Algonka V rezydował w białym kamiennym tipi, o wysokości trzech tysięcy stóp, a najlepsze znane ludzkości konie hodowane były przez ranczerów o brązowej skórze i wystających kościach policzkowych na stepowej planecie Chagan.



\*\*\*\*\*

Po pewnym czasie, siedzący w lądowniku *Warlocka*, inżynier parsknął śmiechem. W pobliżu pojawił się jakiś dziwny pojazd, wyłaniający się spoza krawędzi skalistej ściany, pobrząkujący w charakterystyczny sposób kołami napędu gąsienicowego, który nowo założone kolonie uważają za tak bardzo przydatny. Pojazd lśnił w słońcu. Pełził poprzez potrzaskane głązy i spływające osuwiska piargów. Energicznie zmierzał w ich kierunku. Inżynier parsknął ponownie.

– To mój kuzyn Ralph! – oznajmiła Aletha z radosnym zaskoczeniem w głosie.

Bordman mrugnął powiekami i przyjrzał się ponownie. Nie mógł uwierzyć własnym oczom. Nie było jednak wątpliwości, że mówiły prawdę. Postać kierująca samochodem terenowym... to był Indianin — Amerind — ubrany wyłącznie w przepaskę biodrową, grubo podzielowane sandały i trzy wąskie pióra umocowane na opasce wokół głowy. Ponadto, nie jechał w zwykłym fotelu. Siedział okrakiem na jakimś zaokrąglonym elemencie terenówki, przez który przerzucona została jaskrawo zdobiona derka.

Inżynier ze statku zde gustowany zamruczał coś pod nosem. Bordman jednak zdążył już zauważyć, że był to całkiem sensowny sposób jazdy — przynajmniej tutaj. Pojazd terenowy ostro się przechylał i kołysał, zataczając się i niemal przewracając podczas jazdy po nierównym gruncie. Siedzenie w czymś takim jak fotel byłoby po prostu głupotą. Podczas szarpnięcia do przodu oparcie mogłoby wręcz wyrzucić kierowcę przed pojazd, nie dając dostatecznej podpory przy silnych przechyłach wstecz. Również przechyły boczne mogłoby spowodować wyrzucenie z fotela. Tak więc jazda pojazdem terenowym, przy użyciu czegoś w rodzaju siodła naprawdę miała sens!

Co do ubioru, Bordman nie był już taki pewien. Inżynier otworzył wąż i przemówił z niego nieprzyjaznym tonem:

– Czy wie pan, że w środku czeka na pana kobieta?

Młody Indianin wyszczerzył zęby w uśmiechu. Pomachał ręką do Alethy, która przycisnęła nos do wizjera. I właśnie wtedy Bordman zrozumiał powód założenia przez niego takiego stroju a raczej jego braku. Przez otwarty wąż wejściowy buchnęło powietrze. Było niesamowicie gorące i kompletnie suche. Poczucił się jak w piecu!

– Hej, `Letha! – krzyknął jeździec z rumaka na gąsienicach. – Ubierz się bardziej stosownie do klimatu, albo załóż kombinezon termiczny, zanim tu wyjdiesz.

Aletha zachichotała. Bordman usłyszał za sobą jakieś tajemnicze szelesty. Następnie Aletha wspięła się do wjazdu wyjściowego i wyskoczyła na zewnątrz. Inżynier zamruczał coś ponuro pod nosem. Bordman zobaczył jak dziewczyna wita się z kuzynem. Jedynie minimalnie wyszła poza konwencjonalny ubiór Amerindów, do którego Bordman był przyzwyczajony. Wyglądała jak normalna anglosaska dziewczyna na plaży, na planecie o nieco chłodniejszym klimacie.

Pomimo, że jego oczy chronione były nadal przed częściowo przefiltrowanym światłem słonecznym, Bordmanowi natychmiast przyszła do głowy myśl o porażeniu słonecznym. Typowy dla Amerindów barwnik skóry Alethy był jednak doskonale dostosowany do silnego nasłonecznienia, nawet przy takiej przerażającej intensywności. Wiatr owiewający jej ciało, powinien obniżyć temperaturę powierzchni naskórka. Jej grube, proste czarne włosy stanowiły niemal tak dobrą ochronę głowy jak kask z izolacją termiczną. Oczywiście mogło być jej gorąco, ale powinna być zupełnie bezpieczna. Mogłaby chyba nawet trochę się poopalać. Ale on, Bordman...

Z ponurą miną rozebrał do bielizny i nałożył kombinezon termiczny, który miał w torbie. Napełnił jego zbiorniczki z rezerwuarów z wodą w ładowniku. Włączył małe, bateryjnie zasilane silniczki. Kombinezon

napęłnił się powietrzem. Przeznaczony był przede wszystkim do stosowania podczas krótkich okresów silnego gorąca. Silniczki utrzymywały w środku podwyższone ciśnienie — dzięki czemu kombinezon w dodatku odsuwał się nieco od powierzchni skóry — i chłodziły wnętrze, wykorzystując pot pozyskiwany z organizmu oraz wodę ze zbiorniczków. Był to więc swego rodzaju miniaturowy system klimatyzacyjny, przeznaczony dla jednego człowieka, który powinien pozwolić mu na zniesienie temperatur, jakie w przeciwnym przypadku byłyby śmiertelnie niebezpieczne, dla człowieka o jego pochodzeniu i kolorze skóry. Zużywał jednak mnóstwo wody.

Wcisnął się do włazu wyjściowego i niezdarnie zszedł na dół po drabince zawieszanej na zewnętrznej stronie płetwy ogonowej lądownika. Skorygował ustawienia swoich gogli. Podszedł do paplających młodych Indian, młodego mężczyzny i dziewczyny. Wyciągnął rękę w grubej rękawicy.

– Nazywam się Bordman – powiedział z trudem. – Przybyłem tutaj, aby wykonać inspekcję dla potrzeb określenia stopnia zakończenia prac przygotowawczych dla kolonii. Co się stało i dlaczego musieliśmy lądować przy pomocy statku?

Kuzyn Alethy serdecznie uścisnął mu rękę.

– Nazywam się Ralph Czerwone Pióro – przedstawił się. – Jestem inżynierem projektu. Jeśli chodzi o to co się stało, to padła nasza sieć lądownicza. Nie mogliśmy skontaktować się w porę z waszym statkiem, aby go ostrzec. Zanim odpowiedział, znalazł się w polu grawitacyjnym planety i nie mógł się wycofać przy użyciu napędu Lawlora — nie działał już właśnie z powodu pola grawitacyjnego. Nasze źródła energii oczywiście znikły razem z siecią lądowniczą. Statek którym pan przybył nie może odlecieć, a my nie jesteśmy w stanie wysłać wiadomości alarmowej. Tak więc najbardziej optymistyczna ocena sytuacji mówi, że kolonia ulegnie zagładzie — z głodu i pragnienia — w ciągu najbliższych sześciu miesięcy. Bardzo mi przykro, że pan i Aletha wpadliście razem z nami w poważne kłopoty.

Potem zwrócił się do Alethy i powiedział przyjaźnie:

– Co słyhać u Mike'a Chmury Burzowej, Sally Biały Koń i ogólnie reszty ferajny, 'Letha?

\*\*\*\*\*

*Warlock* przesunął się na nowo obliczoną orbitę wokół Xosa II. Lądownik ciągle pozostawał na dole, po odesłaniu obu pasażerów. Powinien wkrótce wrócić. Nikt z załogi nie miał ochoty lecieć na planetę, ponieważ znali sytuację i warunki panujące na dole — nieznośne gorąco i kompletny brak nadziei. Nikt jednak nie miał zupełnie nic do roboty! Podczas dwumiesięcznej podróży z Trenta, statek utrzymywany był w standardowych warunkach eksploatacyjnych. Nie było więc obecnie potrzeby wykonania żadnych napraw ani kompleksowych przeglądów. Nie

było żadnych prac eksploatacyjnych, o których warto byłoby wspominać. Pełniono jedynie wachty, tak na wszelki wypadek, gdyby stało się coś niespodziewanego. Na samych wachtach zresztą, też nie było nic specjalnego do roboty. Ponadto pozostawał cały czas wolny między wachtami, dwadzieścia jeden godzin z każdej dwudziestoczworgodzinnej doby i żadnej sensownej rzeczy, która mogłaby wypełnić choćby pół godziny z tego okresu. Po kilku — prawdopodobnie — latach *Warlock* powinien doczekać się jakiejś pomocy. Zostanie odholowany z zajmowanej orbity, głębiej w przestrzeń kosmiczną, w miejsce gdzie jego napęd Lawlora będzie już działać, albo po prostu zdejmie się z niego załogę. Tymczasem jednak ludzie na pokładzie byli równie mocno sfrustrowani, jak sama kolonia. Nie byli w stanie niczego zrobić, aby pomóc sobie i innym.

W pewnym sensie, członkowie załogi byli nawet w gorszej sytuacji niż koloniści. Ci ostatni mieli przynajmniej przed sobą kolorową perspektywę zgonu. Mogli się na niego przygotować na kilka sposobów. A na marynarzy z *Warlocka* nie czekało nic oprócz nudy.

Kapitan spoglądał w przyszłość z maksymalnie ponurym przygnębieniem.

\*\*\*\*\*

Podróż do kolonii była męczarnią. Aletha jechała za swoim kuzynem na jego pokrytym derką siodle, i ewidentnie jakoś specjalnie nie cierpiała, jeżeli w ogóle. Bordman jednak musiał podróżować na platformie ładunkowej terenówki, razem z workiem i przesłaną ze statku pocztą. Teren po którym jechali był nieprawdopodobnie nierówny, i niemiłosiernie nimi trzęsło. Ale przede wszystkim panowało dosłownie mordercze gorąco. Na metalowej platformie ładunkowej temperatura osiągała sto sześćdziesiąt stopni Fahrenheita w słońcu — a przy dostatecznie długim czasie oczekiwania, w temperaturze wcale nie wyższej od tej, można było ugotować jedzenie. Oczywiście wiadomo, że człowiek jest w stanie wiele wytrzymać. Może wejść nawet do gorącego piekarnika, poczekać w nim na upieczenie pieczeni, i jeszcze do tego wyjść ze środka żywym. Ale piekarnik nie rzucał nim gwałtownie dookoła, ani nie powodował dociskania kombinezonu termicznego do jego ciała przez rozgrzany na słońcu — niesamowicie rozgrzany na biało-niebieskim słońcu — metal.

Kombinezon pozwolił mu przeżyć, ale to wszystko. Zawartość zbiorniczków z wodą, wyczerpała się tuż przed ich dotarciem do kolonii i, na szczęście tylko przez krótki czas, kombinezon Bordmana musiał działać wykorzystując wyłącznie jego pot. Utrzymał go przy życiu dzięki wymuszonej wentylacji, ale do kolonii Bordman dotarł w stanie zapaści. Wypił mrożoną słońną wodę, którą mu podano i natychmiast poszedł do łóżka. Odzyskał siły wraz z właściwym poziomem jonów sodu we krwi. Przespał jednak dwanaście godzin bez przerwy.

Kiedy wstał, fizycznie czuł się już zupełnie normalnie, dręczyło go jednak głębokie zażenowanie. Nie pomagało nieustanne przypominanie sobie, że Xosa II został przydzielony najniższy stopień dostosowania dla ludzi, klasa D – niebiesko-białe słońce i średnia temperatura na poziomie stu dziesięciu stopni Fahrenheita. Afrykanie mogliby taki klimat zaakceptować – zwłaszcza w lżejszych godzinach nocnych. Amerindowie byli w stanie wykonywać prace przy konstrukcjach stalowych na otwartej przestrzeni, chronieni jedynie przez specjalne obuwie i rękawice izolacyjne. Bordman jednak nie powinien ryzykować wycieczki na zewnątrz, chyba że w kombinezonie termicznym. Nawet wtedy nie mógłby pozostawać tam zbyt długo. To nie była żadna słabość. To po prostu kwestia genetyki. Mimo wszystko jednak czuł się zażenowany.

Kiedy znalazł biuro Inżyniera Projektu, przywitała go siedząca w środku Aletha. Biuro zajmowało jeden z kadłubów statków, wykorzystywanych kiedyś do transportu z orbity materiałów niezbędnych do założenia kolonii, przy użyciu siły rakiet. Po tym dziewiczym okresie pozostało do dyspozycji około czterdziestu takich kadłubów, które opróżniono i rozmieszczono w trzech różnych skupiskach, połączonych ciągami komunikacyjnymi, tak by od czasu do czasu każdy mógł zmienić swoje mieszkanie, sąsiadów i codzienne otoczenie. Dzięki temu minimalizowano zagrożenie gorączką kolonijną – chorobliwą nerwicą wywołaną nieustannym towarzystwem tych samych ludzi.

Aletha siedziała przy biurku, pracowicie sporządzając notatki na podstawie leżącego przed nią segregatora wypełnionego jakimiś luźnymi kartkami. Ściana za biurkiem była niemal całkowicie zavalona podobnymi segregatorami.

– Zrobiłem z siebie spektakl! – kwaśnym tonem stwierdził Bordman.

– Wcale nie! – zapewniła go Aletha. – To mogło przytrafić się każdemu. Ja na przykład nie mogłabym zbyt dobrze funkcjonować na Timbuk.

Na to nie było żadnej odpowiedzi. Timbuk był planetą niemal w pełni porośniętą dżunglą, ledwie wychodzącą z okresu węglowego. Położone na niej kolonie rozwijały się, ponieważ przodkowie mieszkańców pochodzili z wybrzeży Zatoki Gwinejskiej na Ziemi. Ale Anglos uważali jego klimat za bardzo niezdrowy, podobnie jak i wiele innych ras. A Amerindowie umierali tam szybciej niż większość pozostałych.

– Ralph już tu idzie – dodała Aletha. – on i doktor Chuka poszli gdzieś aby znaleźć miejsce na przechowanie rejestrów kolonii. Wie pan przecież, że te piaskowe wydmy są naprawdę straszne. Kiedy przyleci tu statek badawczy, aby sprawdzić co się z nami stało, budynki w których jesteśmy, mogą być już pokryte głęboką warstwą piasku. Muszą więc znaleźć jakieś inne miejsce, które by się do tego nadawało. To nie takie łatwe znaleźć taki magazyn na rejestry, który na pewno zostanie odnaleziony.

– W dodatku w sytuacji – sceptycznie wtrącił Bordman, – gdy nie pozostanie nikt żywy, kto mógłby go wskazać. Czyż nie o to chodzi?

– Tak, dokładnie o to – zgodziła się Aletha. – To wszystko dokoła, to niezłe bagno. Nie planowałam tak wczesnej śmierci.

Jej głos brzmiał absolutnie normalnie. Bordman parsknął. Jako wyższy oficer Misji Kolonialnej bywał tu i tam. Ale nigdy jeszcze nie widział ludzkiej kolonii, która zostałaby zniszczona wtedy, gdy była już kompletnie wyekwipowana i właściwie przeszła przegląd pre-osadniczy. Widywał już nieraz różne zagrożenia, ale nigdy prawdziwego powodu do faktycznej akceptacji zagłady.

\*\*\*\*\*

Na zewnątrz, za ścianą kadłuba statku, w którym mieściły się biura Inżyniera Projektu, rozległ się jakieś brzęczący odgłos. Ponieważ wizjer ustawiony był na filtrowanie światła słonecznego, Bordman nie mógł wyraźnie dojrzeć co się tam dzieje. Sięgnął ręką ponad framugę i otworzył właz. Panująca na zewnątrz jasność uderzyła go jak błysk eksplozji. Zamrugał powiekami, zamknął natychmiast oczy i odwrócił głowę w drugą stronę. Przez mgnienie oka dojrzał jednak, jak nieopodal wejścia zatrzymuje się błyszczący gąsienicowy samochód terenowy.

Stał właśnie, wycierając łzy z oślepionych przez jaskrawe światło oczu, kiedy z zewnątrz doleciał odgłos czyichś zbliżających się kroków. Po chwili wszedł kuzyn Alethy, prowadząc ze sobą olbrzymiego mężczyznę o niesamowicie ciemnej skórze. Ciemnoskóry człowiek nosił okulary z dziwacznie grubymi, wyglądającymi na korkowe noskami, izolującymi metalową oprawkę od skóry jego twarzy. Gdyby okulary dotknęły gołej skóry, mogłyby spowodować oparzenia.

– Przedstawiam doktora Chukę – uprzejmie powiedział Czerwone Pióro. – Panie Bordman, doktor Chuka jest naszym dyrektorem Departamentu Górnictwa i Mineralogii.

Bordman podał rękę człowiekowi o hebanowej skórze. Chuka uśmiechnął się, pokazując śnieżno białe zęby. Potem zaczął się trząść.

– Tu w środku jest jak w zamrażalniku – powiedział głębokim głosem. – Założę tylko coś na siebie i zaraz wracam.

Zniknął za drzwiami wyjściowymi, wyraźnie szczękając zębami. Kuzyn Alethy wziął kilka afektowanych głębokich oddechów i wykrzywił się teatralnie.

– Sam niemal trzęsę się tu z zimna – przyznał, – ale Chuka naprawdę dobrze zaaklimatyzował się na Xosa. Dorastał na Timbuk.

Bordman szorstko wyjaśnił:

– Przepraszam, po wylądowaniu, miałem małą zapaść. To się już nie powtórzy. Przybyłem tutaj, aby dokonać inspekcji w celu przyznania stopnia zagospodarowania, który powinien otworzyć kolonię dla normalnej działalności gospodarczej, pozwolić na sprowadzenie na planetę rodzin kolonistów, turystów, i tak dalej. Ale musiałem lądować statkiem, zamiast w normalny sposób i poinformowano mnie, że kolonia skazana jest na zagładę. Chciałbym otrzymać oficjalne informacje na temat stopnia zakończenia realizacji infrastruktury kolonii i wytłumaczenia niezwykłych faktów, o których przed chwilą wspomniałem.



Indianin zamrugał w jego stronę oczyma. Potem lekko się uśmiechnął. W tym momencie wrócił ciemnoskóry człowiek, dopinając wykorzystywane przez niego w budynkach, ciepłe ubranie. Czerwone Pióro sucho wprowadził go w rozmowę, powtarzając to co przed chwilą powiedział Bordman. Chuka uśmiechnął się i rozsiadł się wygodnie w krześle.

– Można by powiedzieć – zauważył z humorem, swoim zadziwiająco niskim głosem, – że nasypało nam się w tryby piasku. Nam i naszej kolonii. I sieci lądowniczej. Na Xosa jest całe mnóstwo piasku. Nie uważa pan, że to jest pewien kłopot?

Indianin wtrącił ze specjalnym naciskiem:

– Oczywiście wiatr też miał coś tu do powiedzenia.

Bordman poczuł wzbierającą złość.

– Mam nadzieję, że panowie wiecie – powiedział z rozdrażnieniem, – że jako wyższy funkcjonariusz Misji Kolonialnej, mam prerogatywy, aby wydawać wszelkie polecenia niezbędne do wykonania mojej pracy. W związku z tym jedno wydaję właśnie teraz. Chciałbym dokonać inspekcji sieci lądowniczej – jeżeli nadal tam stoi. Rozumiem, że nie spadła na ziemię?

Czerwone Pióro w widoczny sposób, pomimo dużej zawartości brązowego pigmentu w jego skórze, zrobił się czerwony. Trudno było bardziej obrazić specjalistę od konstrukcji stalowych, niż sugerując, że jego dzieło nie dało rady ustać.

– Zapewniam pana – oznajmił z lodowatą uprzejmością – że się nie przewróciła.

– Pańska ocena stopnia zaawansowania jej budowy?”

– Osiemdziesiąt procent – formalnie określił Czerwone Pióro.

– Zatrzymał pan prowadzone nad nią prace?

– Prace nad nią zostały przerwane – zgodził się Indianin.

– Pomimo, że kolonia nie może otrzymać żadnych dostaw, dopóki nie zostanie ona ukończona?

– Dokładnie tak – odparł Czerwone Pióro z kamiennym wyrazem twarzy.

– Wydaję więc formalne polecenie, abym natychmiast zawieźć mnie do miejsca położenia sieci lądowniczej – gniewnie zażądał Bordman. – Chcę zobaczyć czyja i jakiego rodzaju niekompetencja odpowiedzialna jest za ten stan rzeczy! Czy zorganizuje pan to... natychmiast?

Czerwone Pióro powiedział kompletnie wypranym z emocji głosem.

– Chce pan zobaczyć miejsce położenia sieci lądowniczej. Bardzo dobrze. Natychmiast.

Odwrócił się i wyszedł na niewiarygodnie oślepiające światło słoneczne. Bordman mrugnął zaskoczony uderzeniem światła i zaczął przechadzać się po biurze w tą i z powrotem. Jego gniew nie malał. Nadal odczuwał zażenowanie spowodowaną gorącym zapaścią, podczas podróży z miejsca w którym wylądował lądownik raketowy, do bazy kolonii. Dlatego był przewrażliwiony i miał skłonności do irytacji. Jednak polecenie, które wydał, było całkowicie uzasadnione.

Usłyszał z tyłu jakiś dziwny odgłos. Odwrócił się na pięcie. Doktor Chuka, wielki, czarny człowiek w okularach, kołysał się w swoim fotelu do przodu i do tyłu, dusząc w sobie śmiech.

– A co to u diabła ma teraz znaczyć? – Bordman podejrzliwym tonem zażądał wyjaśnień. – Z całą pewnością nie ma nic śmiesznego w tym, że żądałem obejrzenia konstrukcji od której w końcu w końcu zależy życie całej kolonii.

– Nie, to nie jest śmieszne – odpowiedział doktor Chuka. – To jest... komiczne!

I wybuchnął niepowstrzymanym śmiechem w biurze o zaokrąglonym suficie, przerobionym z kadłuba statku-roboty. Aletha uśmiechnęła się razem z nim, ale jej oczy były ciągle poważne.

– Lepiej niech pan założy kombinezon termiczny – powiedziała do Bordmana.

Ponownie ogarnął go gniew, popychający do przeciwstawienia się tej w końcu rozsądnej radzie, aby udowodnić, że jego nakazy mogą przełamać wszelkie przeciwności. Wyszedł jednak z biura, idąc z powrotem do kąpika w którym się obudził. Z gniewem założył kombinezon termiczny, który wcześniej co prawda nie ochronił go w dostatecznym stopniu od gorąca, ale z pewnością uratował mu życie. Napełnił zbiorniczki po brzegi, „z czubkiem” — podejrzewał, że przedtem nie zrobił tego tak dokładnie. Wrócił do biura Inżyniera Projektu, z poczuciem brzemienia i absurdalności całej sytuacji.

\*\*\*\*\*



Przez filtr okienny zobaczył, że przy samochodzie terenowym pracują jacyś ludzie o skórze tak samo ciemnej, jak doktora Chuki. Instalowali na nim osłonę przeciwsłoneczną i dziwaczne płyty, podobne do skrzydeł. Ktoś podjechał w ich kierunku czymś w rodzaju pojazdu gąsienicowego. Do bagażnika przełożono ciężkie zbiorniki. Doktor Chuka zniknął gdzieś, a Aletha z powrotem zagłębiła się w pracy, robiąc notatki na podstawie kartek z leżącego na biurku segregatora.

– Czy mógłbym wiedzieć – z pewną dozą ironii spytał Bordman, – jaka to pilna praca pochłania panią właśnie teraz?

Podniosła na niego wzrok.

– Myślałam, że pan wie – powiedziała z zaskoczeniem. – Przybyłam tu na polecenie Towarzystwa Historycznego Amerindów. Mam uprawnienia do poświadczania zasług za wybitne wyczyny. Przygotowuję zapisy zasług dla Towarzystwa. Zostaną one umieszczone w schowku z rejestrami kolonii, który przygotowują Ralph i doktor Chuka, tak więc niezależnie od tego co stanie się z kolonią, zapisy zasług również nie zaginą.

– Zasługi? – dopytywał się Bordman. Wiedział, że Amerindowie na najważniejszych filarach budowanych przez nich konstrukcji stalowych malowali pióra, i wiedział również, że możliwość umieszczenia takich „znaków zasługi” była cenionym przywilejem, który niewątpliwie przetrwał albo został reaktywowany jako echo jakiejś starej tradycji Indian Amerykańskich z Ziemi. Nie miał jednak pojęcia, co to może oznaczać.

– Zasługi – rzeczowo powtórzyła Aletha. – Ralph ma prawo do noszenia trzech orlich piór. Widział pan je przecież. Ma trzy zasługi. Za każdą jedno pióro. Budował sieci lądownicze na Norlath i ... Och, pan nic nie wie!

– Nie wiem – przyznał Bordman nieco opryskliwie, ponieważ wszystko to co go spotkało na Xosa II wydawało mu się otoczone zbyteczną protekcjonalnością.

Aletha wyglądała na zaskoczoną.

– Za dawnych czasów – wyjaśniła, – jeszcze na Ziemi, jeśli mężczyzna oskalpował wroga, zaliczał wspaniały wyczyn i zasługę za niego. Pierwszy, który uderzał na wroga także zaliczał wyczyn – nieco mniejszy. W obecnych czasach, mężczyzna może zaliczać wyczyny za różne sprawy, ale trzy orle pióra Ralpa oznaczają, że należy mu się taki sam szacunek, jak wojownikowi z danych lat, który trzy razy zabił i oskalpował wrogięgo wojownika w środku jego własnego obozu. I tak właśnie jest!

Bordman chrząknął.

– Powiedziałbym, że to barbarzyństwo!

– Pańskie prawo – stwierdziła Aletha. – Ale jest to coś, z czego można być dumnym – i nie można zaliczyć zasługi za zarobienie nawet całej góry pieniędzy! – Na chwilę przerwała, a potem dodała szorstko. – Określenie „snobizm” pasuje do tego znacznie lepiej niż „barbarzyństwo”. Jesteśmy snobami! Ale kiedy głowy klanów stają na Radzie w Dużym Tipi na Algonka, reprezentując swój klan i muszą założyć przybrania głowy z piórami zdobytymi za wszystkie zasługi członków swojego klanu – wszyscy są dumni, że należą do tego klanu! – Dodała wyzywająco: – Nawet jeśli oglądają to tylko na ekranach wizyjnych!

Doktor Chuka otworzył zewnętrzne drzwi. Buchnęło z nich oślepiające światło. Nie wszedł do środka – a jego ciało błyszczało od potu.

– Jestem gotów do pańskich usług, panie Bordman!

Bordman skorygował ustawienia gogli i włączył silniczeki kombinezonu termicznego. Wszedł na zewnątrz.

\*\*\*\*\*

Gorąco i jaskrawe słońce na zewnątrz były wręcz powalające. Jeszcze mocniej przyciemnił gogle i ruszył ospale do czekającego, teraz już zacienionego samochodu terenowego. Oprócz osłony przeciwsłonecznej, zauważył również inne zmiany. Znikła pokrywa platformy ładunkowej, a zamiast niej z tyłu pojawiły się cylindryczne siedzenia w kształcie siodeł. Tuż ponad gąsienicami do boków pojazdu przymocowano dziwaczne, sterzące na boki, osłony. Nie potrafił domyślić się ich przeznaczenia, i denerwowało go, że nie miał nawet siły by o nie zapytać.

– Wszystko gotowe – chłodno powiedział Czerwone Pióro. – Pojedzie z nami doktor Chuka. Proszę, niech pan wejdzie tutaj...

Bordman niezgrabnie wgramolił się na pudełkowaty tył samochodu. Usiadł okrakiem na jednym z cylindrycznych wynalazków. Pokryty siodeł stanowiąc bez wątpienia w miarę wygodny sposób na przemierzanie mechanicznym pojazdem obrzydliwie przykrego terenu. Siedział więc i cierpliwie czekał. Dokoła wszędzie widać było przysadziste kadłuby kosmicznych krypt, które zostały tu przyciągnięte przez statek kolonialny i wylądowały przy pomocy jednorazowych silników rakietowych. Opróżnione z przywiezionego ładunku, zostały potem zebrane w trzy odrębne kompleksy, połączone między sobą podziemnymi przejściami. Znajdowały się w nich oddzielne kwatery dla wszystkich, jadalnie i pomieszczenia rekreacyjne. Każdy z kolonistów mógł sobie wybrać kompleks w którym mieszkał, miał przy tym całkowitą swobodę ewentualnych zmian, wizyt, jak również zapewnioną prywatność, gdy chciał pozostać sam. Dla zachowania zdrowia psychicznego, ludzie muszą być pewni że mają swobodę wyboru, a wszelka nadmierna reglamentacja jest szkodliwa w każdej społeczności. W przypadku ludzi, których profil psychologiczny najlepiej odpowiada potrzebom kolonizowania nowych światów, skutki mogłyby być fatalne.

Ponad nimi — ale w pewnej odległości — rozciągało się monstrualne urwisko górskie, mieniące się jaskrawymi i nienaturalnymi barwami. Wszędzie wokół widać było gołe skały. Były one perfekcyjnie wygładzone, tak jakby ziarenka piasku szlifowały je przez niezliczone eony i dokładnie starły każdy ślad nierówności. Po lewej stronie, pół mili dalej zaczynały się wydmy, ciągnące się daleko, aż po sam horyzont. Te najbliższe były niewielkie, ale nabierały wysokości wraz z rosnącą odległością od gór — co w istotny sposób wpływało na ruchy powietrza w okolicy — tak że linia widnokręgu była wyraźnie postrzępiona. Wydmy w oddali musiały więc być olbrzymie. Ale oczywiście na świecie o rozmiarach równych starożytnej Ziemi, który był niemal zupełnie pozbawiony wody, poza niewielkimi pokrywami śniegu na biegunach, wielkość do jakiej mogły urosnąć piaskowe wydmy była niemal nieograniczona. Powierzchnię Xosa II stanowiło morze piasku, na którym jedynym niewielkim urozmaiceniem były wyspy i niewielkie kontynenty smaganych wiatrem skał.

Doktor Chuka pokręcił niewielkim, trzymanym w ręku metalowym przedmiotem. Wystawała z niego jakaś rurka. Wspiął się na platformę ładunkową i przymocował ją do jednego z dwu załadowanych wcześniej zbiorników.

– To dla pana – powiedział Bordmanowi. – Te zbiorniki wypełnione są powietrzem sprężonym pod dosyć wysokim ciśnieniem — kilka tysięcy funtów. To jest zwór redukcyjny, wykorzystujący rozprężanie adiabatyczne, aby zasilać pański kombinezon termiczny dodatkowym powietrzem. Ponieważ rozpręża się ono pod tak wysokim ciśnieniem, będzie więc dość zimne, co pozwoli obniżyć nieco temperaturę kombinezonu.

Bordman ponownie poczuł się upokorzony. Rasa Chuki i Czerwonego Pióra pozwalała im na poruszanie się pod gołym niebem tej planety, pomimo, że w dziewięćdziesięciu procentach byli nadzy. Mogli więc tu swobodnie funkcjonować. On jednak, aby wytrzymać gorąco, potrzebował specjalnego chłodzącego stroju. Więcej, zbudowali dla niego osłonę przeciwsłoneczną i przygotowali schłodzone powietrze, którego sami nie potrzebowali. Musieli troszczyć się o niego, jak o dziecko. Był tak daleko poza swoim środowiskiem, w miejscu do którego oni dostosowani byli doskonale, jakby dokonywał przeglądu stopnia zagospodarowania projektu podwodnego. Aby przetrwać musiał zakładać na siebie coś, co praktycznie było niemal kombinezonem do nurkowania i korzystać ze specjalnych zapasów powietrza!

Zdusił w sobie irytację, powodowaną własnym brakiem przystosowania.

– Mam nadzieję, że teraz możemy już wyruszyć – powiedział tak chłodno, jak tylko mógł.

Kuzyn Alethy zasiadł w siodle kierowcy — chociaż w zasadzie był to zwykły koc – a doktor Chuka wszedł na platformę obok Bordmana. Pojazd terenowy ruszył w drogę. Zmierzali w stronę gór.

\*\*\*\*\*

Gładkość skalnego podłoża okazała się nieco zwodnicza. Pojazd gąsienicowy przechylał się, podskakiwał, trząsał i kołysał na wybojach. Toczył się, nurkując co chwila w zagłębienia i ciężko się zataczając. W takim terenie nikt nie zdołałby wysiedzieć w normalnym fotelu, ale z powodu tego dziwnego siodła, Bordmana prześladowało wrażenie że cała ta impreza w niepoważny sposób przypominała coś w rodzaju konnej przejażdżki. W dodatku, z powiewającą w górze osłoną przeciwsłoneczną, irytująco wyglądało to jak koń na karuzeli. Ponieważ siedzieli razem we trzech, widok musiał być nawet jeszcze bardziej idiotyczny. Rozglądał się więc dookoła, starając się oderwać umysł od dręczącego go uczucia absurdu. Gogle sprawiały, że jasność światła stała się możliwa do zniesienia, ale powiększało to tylko jego uczucie zażenowania.

– Te sterzące na boki płetwy – uprzejmie poinformował go Chuka swoim głębokim głosem, – te pod spodem, są po to aby panu pomóc. Ciężki nad głową osłania pana przed bezpośrednim światłem, a one chronią przed promieniowaniem odbitym. U osoby o pana karnacji światło

mogłoby spowodować oparzenia, nawet gdyby nie wystawił pan skóry na bezpośrednie oddziaływanie słońca.

Bordman nic nie odpowiedział. Dziwaczny pojazd gąsienicowy sunął dalej. Dotarli do łąchy piachu — ciemny piasek, mocno nasycony minerałami. Dalej rozpoczynał się stok wydmy. Jak na Xosa II nie była nawet specjalnie duża. Miała nie więcej niż sto stóp wysokości. Ruszyli w górę po jej zawietrznym, stromo nachylonym zboczu. Cała planeta wydawała się coraz bardziej szaleńczo przechylać w miarę kolejnych obrotów kół napędowych gąsienic. Dotarli w końcu pod sam szczyt, który sprawiał wrażenie jakby zawijał się nad ich głowami i zaraz miał uderzać jak wodny grzywacz. Gąsienice musiały zмагаć się z piaskiem grożącym osunięciem się w dół. Bordmanowi nagle przyszło do głowy skojarzenie piasków Xosa II z oceanami, którymi przecież w zasadzie były. Wydmy były w końcu czymś w rodzaju fal, które poruszały się z niesamowitą powolnością, ale z taką samą nieodpartą siłą jak te na burzliwym morzu. Nic nie było w stanie się im oprzeć. Absolutnie nic!

Przez kolejne dwie mile pokonywali wydmy podobne do tamtej. Później zaczęli wspinać się na podnóże gór. Bordman ponownie mógł zobaczyć — za pierwszym razem było to przez wizjery lądownika — miejsce gdzie w górskiej ścianie znajdował się rozstęp, z którego piasek spływał jak potężny wodospad, tworząc na wprost niskiego urwiska piękny, symetryczny kopiec w kształcie stożka. Takich wodospadów było wiele. W jednym miejscu spadający piasek uformował całą kaskadę. Piach zsuwał po serii skalistych stopni, gromadząc się na każdym z nich i przesypując się w końcu przez jego krawędź, tak by opaść na następny.

Ruszyli w górę po mocno nachylonej kamiennej ostrodze, której zbocza były zbyt strome aby mógł zbierać się na nich piasek i tylko wąski grzbiet pokryty był cienką warstwą proszku.

Krajobraz wyglądał nieomal jak z sennego koszmaru. W miarę jak pojazd wjeżdżał coraz wyżej, kołysząc się na boki, przechylając i rzucając do przodu i do tyłu, rosnący bezmiar przepaści po obu stronach trasy powodował, że Bordman zaczął odczuwać pierwsze objawy zawrotów głowy. Jak okiem sięgnąć barwy otaczających ich skał były wręcz niesamowite. Coraz bardziej jednak rzucała się w oczy, tworząc wstrząsający jałowy krajobraz, spieczona, wysuszona ziemia oraz kompletny brak oznak jakiegokolwiek życia. Bordman zauważył, że mimowolnie wyteża swój wzrok i całą uwagę, by dojrzeć najmniejszy choćby skrawek krzaczka czy też najmniejszą, najbardziej nawet izolowaną, kępkę trawy.

Podróż trwała jeszcze mniej więcej godzinę. W końcu dotarli do zdeformowanego i wygładzonego przez piasek zbocza zerodowanej góry a następnie wjechali na jej najwyższy punkt. Pojazd terenowy pokonał może jeszcze ze sto jardów i zatrzymał się.

Dotarli do szczytu pasma górskiego, za którym bez wątpienia musiało znajdować się kolejne. Musiało, tyle że zupełnie go nie było widać. Za miejscem na które się wspięli nie było już żadnych skał. Nie było opadającego w dół zbocza. Nie było pod nimi żadnej doliny. Był tylko piasek. Był to jeden z piaszkowych płaskowyżów, które były wyjątkowym

zjawiskiem, spotykanym wyłącznie na Xosa II. A Bordman mógł naocznie się przekonać, że spośród licznych rozważanych wyjaśnień sposobów ich powstawania, prawdziwy mógł być tylko jeden.

Szalejące nad górami wiatry unosiły ze sobą piach, tak samo jak na innych światach przenosiły parę wodną, pył, nasiona roślin czy deszcz. W miejscu w którym w poprzek trasy nieustannie dmących wiatrów przebiegały dwa pasma górskie, nad znajdującą się między nimi doliną powstawały potężne zawirowania. Co z kolei powodowało opadanie piasku do wnętrza doliny. Coś w rodzaju pasatów, pomyślał Bordman, po dłuższym czasie mogło to wypełnić całą dolinę aż po same szczyty otaczających ją gór, tyle że wiatry równikowe, takie jak pasaty, wiejące na innych planetach, dostarczają równie dużych ilości, tylko że wody, którą mogą wykorzystywać powstające na nich cywilizacje. Ale...

\*\*\*\*\*



- A więc? - wyzywająco rzucił Bordman.
- To właśnie jest miejsce położenia sieci lądowniczej - oznajmił Czerwone Pióro.
- Gdzie?
- Tu - sucho stwierdził Indianin. - Jeszcze kilka miesięcy temu, w tym miejscu była dolina. Sieć lądowniczą rozbudowano do wysokości tysiąca ośmiuset stóp. Miało być jeszcze czterysta stóp — ale ponieważ w górnej partii konstrukcja powinna być lżejsza, tak więc uzasadniało to moje oszacowanie zakończenia nad nią prac, w osiemdziesięciu procent. Potem jednak przyszła burza.

Było gorąco. Straszliwie, potwornie gorąco, nawet tutaj na płaskowyżu, na wysokości szczytów gór. Doktor Chuka popatrzył Bordmanowi w twarz i

schylił się, sięgając ręką gdzieś do środka pojazdu. Przekręcił zawór regulatora na jednym ze specjalnie przywiezionych dla niego zbiorników powietrza. Natychmiast zrobiło mu się chłodniej. Na skórze, oczywiście, nie było nawet śladu wilgoci. Krążące powietrze osuszało pot natychmiast jak tylko się pojawił. Przez cały czas prześladowało go jednak otępiające, drażniące wrażenie, człowieka zamkniętego w sztucznie podgrzewanym piekarniku. Walczył z tym już od pewnego czasu. Teraz chłód rozprężanego powietrza był prawie delirycznie orzeźwiający.

Doktor Chuka zaimprovizował bufet. Bordman pił spragniony. Woda była nieco słonawa, tak by uzupełnić braki utraconej razem z potem soli.

– Burza, co? – Zapytał Bordman kiedy uporał się już ze swoimi organizmem, i mógł przejrzeć się dokładniej rozciągającej się przed nimi scenerii kompletnej katastrofy. Nawet niewielka część tego płaskowyzu, to było parę setek milionów ton piasku. Nie było co myśleć o jakiegokolwiek możliwości jego usunięcia, chyba że pomogłoby tu długotrwałe działanie pasatów, jeśli zmieniłyby kierunek na równoległy, wzdłuż grzbietu doliny.

– Ale jak burza mogła spowodować coś takiego...

– To była burza piaskowa – chłodno powiedział Czerwone Pióro. – Prawdopodobnie spowodowana rozbłyskiem plam słonecznych. Nie wiemy. Ale badania prekolonizacyjne wspominają o burzach piaskowych. Zespół badawczy wykonał nawet oszacowania opadu piachu w różnych miejscach, oceniając je na wiele cali rocznie. Tutaj wszystkie burze powodują opady piachu zamiast deszczu. Ale w tym przypadku, to musiał być rozbłysk plam na słońcu, ponieważ ta burza szalała – jego głos stał się stanowczy i przemyślany, ponieważ wygłaszał rzecz wydawałoby się z gruntu nieprawdopodobną – przez dwa miesiące. Przez ten cały czas nie widzieliśmy nawet śladu słońca. Naturalnie nie mogliśmy również pracować. Piasek obdarłby człowieka ze skóry w ciągu kilku minut. Musieliśmy więc ją przeczekać.

– Po jej zakończeniu w miejscu gdzie Misja zamówiła budowę sieci lądowniczej, znajdował się ten usypany z piasku płaskowyz. Sieć znajdowała się pod nim. No i oczywiście ciągle tam jest. Wierzchołek konstrukcji stalowej o wysokości tysiąca ośmiuset stóp, pogrzebany jest pod dodatkowymi dwoma setkami stóp piachu, jak pan sam zresztą widzi. A nasze niewykorzystane jeszcze zapasy stali budowlanej leżą ślicznie zebrane i gotowe do jej zakończenia – pod dwoma tysiącami stóp piasku. Ponieważ nie mamy żadnych zapasów zmagazynowanej energii, tak więc z dużą nadzieją – ton Czerwonego Pióra stał się sardoniczny – możemy myśleć o próbie odkopania konstrukcji. Tutaj leżą setki milionów ton materiału, który należałoby gdzieś wywieźć. Gdyby udało nam się zabrać stąd ten piach, moglibyśmy skończyć sieć. Gdybyśmy mogli skończyć sieć, mielibyśmy wystarczająco dużo energii żeby zabrać stąd ten piach... w ciągu kilku lat, i gdybyśmy mogli zastępować maszyny, które zużyją się podczas tej operacji. No i oczywiście jeśli nie przytrafiłaby się kolejna taka burza piaskowa.

Przerwał. Bordman wziął kilka głębokich wdechów chłodniejszego powietrza. Dzięki temu był w stanie myśleć nieco wyraźniej.



- Jeżeli zaakceptuje pan jako dowód zdjęcia – uprzejmie powiedział Czerwone Pióro, – może pan sprawdzić, że właściwie to wykonaliśmy naszą robotę.

\*\*\*\*\*

Bordman dostrzegał konsekwencje obecnego stanu rzeczy. Kolonia została utworzona przez Amerindów, wykonujących konstrukcje stalowe i Afrykanów, wykonujących prace do których Amerindowie mieli dziedziczną awersję – obsługę działających pod ziemią skomplikowanych maszyn górniczych i sterowanie nowoczesnymi urządzeniami do szybkiego wytopu metali. Ludzie obu ras byli w stanie znieść klimat planety i w nim pracować, pod warunkiem, że mieli zapewnione klimatyzowane kwatery do spania. Musieli więc mieć energię. Energię potrzebną nie tylko do pracy, ale po to by w ogóle przeżyć. Klimatyzatory, które umożliwiały im sen, oziębiając powietrze kondensowały także znajdujące się w nim śladowe ilości pary wodnej. Ich funkcjonowanie było więc niezbędne także do produkcji wody do picia. Bez energii wkrótce zaczną dręczyć ich pragnienie. Bez sieci lądowniczej i energii jaką pobierała ona z jonosfery planety, nie mogli odbierać dostaw od reszty wszechświata. Wkrótce zaczną więc także głodować.

Ponadto *Warlock*, krążący teraz gdzieś wysoko w górze, na orbicie, wszedł za głęboko w pole grawitacyjne planety i nie mógł użyć swojego napędu Lawlora aby odlecieć stąd z wieściami o ich kłopotach. Przy normalnym biegu wydarzeń miną lata, zanim zostanie tu wysłany jakiś statek kolonialny, po to by sprawdzić dlaczego z Xosa II nie docierają żadne nowe informacje. Statek zdolny do lądowania przy pomocy siły rakiet lub wyrwania się w ten sposób z uwięzi pola grawitacyjnego planety. Z oczywistych powodów coś takiego jak sygnalizacja alarmowa o zasięgu międzygwiazdowym po prostu nie istniało. Same statki podróżują szybciej niż jakikolwiek sygnał, jaki mógłby być przesyłany w tego typu sieci, a odległości są tak olbrzymie, że przesłanie komunikatu zwykłymi środkami, zabierałoby olbrzymie ilości czasu. Także w obecnych czasach wiadomość wysłana na Ziemię z Pogranicza, potrzebowała dziesięciu lat pokonanie tej drogi w jedną stronę, i kolejnych dziesięciu na odpowiedź. Nawet dużo mniejsze odległości, w powiązaniu z trudnym położeniem Xosa II, przekreślały wszelkie nadzieje na pomoc. Kolonia była zdana wyłącznie na własne siły.

Bordman ciężko westchnął:

- Zaakceptuję dokumentację fotograficzną. Muszę przyjąć do wiadomości nawet stwierdzenie, że kolonia skazana jest na śmierć. Przygotuję mój raport do umieszczenia w skrytce, którą, jak mi mówiła panna Aletha, przygotowujecie. I chciałbym przeprosić za wszystkie afronty, jakie musieliście panowie znosić z mojej strony.

Doktor Chuka pokiwał głową z aprobatą. Przez cały czas traktował Bordmana z życzliwością i ciepłem. Ralph Czerwone Pióro powiedział również dosyć serdecznym tonem:

– Absolutnie wszystko w porządku. Nic się przecież nie stało.

– A teraz – krótko stwierdził Bordman, – na podstawie moich uprawnień, do wydawania wszelkich poleceń niezbędnych podczas realizacji powierzonego mi zadania, chciałbym przebadać kroki jakie pan podjął, aby zrealizować odpowiednią część pańskich instrukcji, dotyczącą sytuacji alarmowych. Bezwzględnie proszę o informacje o tym co zostało zrobione, aby zaradzić istniejącemu stanowi rzeczy. Zdaję sobie sprawę, że na tę katastrofę nie można było nic poradzić, ale zamierzam zostawić raport w sprawie podjętych przez pana działań!

\*\*\*\*\*

Warlock krążył w próżni wokół planety Xosa II. Znajdował się zaledwie pięć tysięcy mil ponad powierzchnią, tak więc nieustannie przepływała pod nim szybka rzeka pocętkowanych pustynnych krajobrazów suchej planety. Nie miało się nawet wrażenia, że leżą one tak daleko w dole. Po prostu wyglądało to, jakby wypływały niemal spod statku. Na samym statku działała sztuczna grawitacja i oświetlenie, słychać było pomruk pomp utrzymujących cyrkulację powietrza, tak by mogło przepływać przez urządzenia oczyszczające. Była również żywność, właściwej jakości woda, odpowiednio dostosowana temperatura. Tyle że kompletnie nic się nie działo. Co więcej nie można było oczekiwać, że cokolwiek się wydarzy. Załoga składała się z ośmiu ludzi, którzy byli przyzwyczajeni do podróży kosmicznych, trwających od jednego do trzech miesięcy. Jednak od ostatniej wizyty w porcie podróżowali już ponad dwa miesiące. Do tej pory wyczerpali posiadane zasoby nowych szpul wizyjnych, odtwarzając je w kółko i w kółko, aż do chwili gdy ich oglądanie stało się już nie do zniesienia. Przeczytali już raz, a potem drugi, wszystkie taśmy z książkami, jakie mieli na pokładzie. Podczas poprzednich podróży tyle razy grali już ze sobą w szachy i inne podobne gry, że stało się całkowicie przewidywalne kto kogo zwycięży, w każdej możliwej konkurencji.

Obecnie w przyszłość spoglądali jedynie z rozgoryczeniem. Statek nie był w stanie wylądować, ponieważ na znajdującej się pod nimi planecie nie było żadnej działającej sieci lądowniczej. Nie mogli odlecieć, ponieważ na planecie o grawitacji zbliżonej do ziemskiej, napęd Lawlora po prostu nie działa w odległości mniejszej niż pięć średnic planety. Słabe pole generowane przez silniki statku jedynie w nieznacznym stopniu ugina przestrzeń, ale aby utrzymać to ugięcie, napęd Lawlora potrzebuje przestrzeni niemal pozbawionej naprężeń grawitacyjnych. Nie mieli dostatecznie dużo paliwa, aby pokonując grawitację planety, odlecieć na silnikach rakietowych na odległość tych trzydziestu kilku tysięcy mil. Z tych samych powodów, bezużyteczne były ich szalupy ratunkowe. Nie

mogli uciec korzystając z silników raketowych, a ich napędy Lawlora także nie działały.

W dodatku załoga *Warlocka* była znudzona. Najgorszą rzeczą w tej nudzie było to, że miała ona trwać bez końca. Mieli żywność, wodę i komfort fizyczny, ale znajdowali się w dokładnie tej samej sytuacji, co ludzie skazani na uwięzienie przez nieznaną z góry, ale bardzo długi okres czasu. Nie było żadnej możliwości ucieczki. Nie było żadnej możliwości złagodzenia kary. Jawiące się przed nimi perspektywy wręcz zapraszały do szaleństwa.

Bijatyka w kwaterach załogi wybuchła zanim jeszcze nie minęły dwie godziny od ustabilizowania *Warlocka* na orbicie — jako pierwsza reakcja na katastrofę, która ich spotkała. Kapitan sprawdził statek i starannie skonfiskował wszystko co mogłoby posłużyć jako broń. Zamknął solidnie wszystkie znalezione rzeczy. Sam już zaczynał odczuwać dokuczliwe efekty rozstroju nerwowego. Nie było nic do roboty. Nie wiedział również kiedy będzie można cokolwiek zrobić. Były to warunki, prowadzące prosto do rozwoju psychozy.

\*\*\*\*\*

Panowała głucha noc. Na dworze, ponad zabudowaniami kolonii na niebie błyszcząły niezliczone miriady gwiazd. Nie były to oczywiście te same gwiazdy, które można było zobaczyć na ziemskim firmamencie. Ale Bordman nigdy nie był na Ziemi. Ponadto przyzwyczajony był do oglądania coraz to innych, nieznananych konstelacji. Spoglądał przez wizjer w niebo i zauważył, że nie widać żadnego księżyca. Zamyślony zarejestrował w pamięci informację, że Xosa II nie ma księżyca. Zza pleców dolatywał do niego od czasu do czasu szelest papieru. I właśnie teraz Aletha Czerwone Pióro przewróciła kolejną stronę w segregatorze i starannie coś zapisała. Na półkach, na znajdującej się za nią ścianie stało dużo więcej takich ksiąg. Można w nich było znaleźć szczegółową historię każdego najdrobniejszego nawet zadania, wykonanego przez przygotowujące kolonię załogi. Poszczególne zwięzłe opisane punkty miały potem zostać zebrane w całość, tak by utworzyć rejestr działalności każdego z ludzi.

Przed wszystkim zawierały one opisy niewiarygodnych trudów i wysiłków. Również bohaterskich czynów. Próbowano przetransportować zapasy wody samolotem prosto z bieguna. Nie zdało to jednak egzaminu, nawet na tyle, by znacząco zwiększyć istniejące rezerwy płynów. Wiatry, które na innych planetach unosiły ze sobą drobiny wilgoci, tutaj zamiast nich niosły drobinki piasku. Samoloty podczas lotu były wręcz ścierane w oczach. Ostatnia działająca maszyna została zmuszona do awaryjnego lądowania, pięćset mil od kolonii. Zorganizowano wyprawę na pojazdach gaśnicowych i uratowano załogę. Terenowe pojazdy gaśnicowe miały pancerze z silikonowych tworzyw sztucznych, odporne na ścieranie, ale mimo tego po powrocie z ekspedycji musiały zostać złomowane. W księgach opisywano również przypadki zaginięcia ludzi w nagłych

piaskowych szkwałach i bohaterskie akcje poszukiwawcze, które raz czy dwa doprowadziły do ich uratowania. Zdarzały się także zawały w kopalniach. Były wypadki. Pełno było wspaniałych czynów świadczących o wytrwałości ludzi i uporczywej walce z przeciwnościami.

Bordman podszedł do drzwi wyjściowych kadłuba w którym znajdowało się biuro Inżyniera projektu *Ralph Czerwone Pióro*. Otworzył je i wyszedł na zewnątrz.

Było to jak wejście do piekarnika. Piasek był ciągle nagrany przez promieniowanie słońca, które zaszło dopiero przed chwilą. Powietrze było tak kompletnie suche, że Bordman natychmiast poczuł jak wysysa mu wilgoć z nozdrzy. Już po dziesięciu sekundach stopy — na których miał obuwie, przeznaczone do chodzenia wewnątrz pomieszczeń — poczuły gorąco nie do zniesienia. Po dwudziestu, wydawało mu się, że czuje jakby podeszwy stóp zaczęły pokrywać się oparzeniami. Nawet w nocy umarłby tu z gorąca! Być może zdołałby przetrwać na zewnątrz tuż przed świtem, ale ta myśl obudziła w nim tylko wściekłość. Tutaj, gdzie Amerindowie i Afrykanie swobodnie mogli mieszkać i działać, on bez ochrony był w stanie przeżyć może godzinę czy dwie, i to tylko podczas jednej konkretnej pory obrotu planety!

Wrócił szybko do środka, nieco zawstydzony swoim brakiem odporności na dyskomfort stóp, i gniewnie mając ochotę raczej pozwolić je przypiec niż przyznać się do tego.

Aletha przewróciła kolejną stronę.

– Proszę na mnie popatrzeć! – gniewnie rzucił Bordman. – Nieważne co pani powie, wraca pani na pokład *Warlocka* zanim...

Podniosła na chwilę wzrok.

– Tym będziemy się martwić, w odpowiednim czasie. Ale nie wydaje mi się. Raczej chyba zostaną tutaj!

– Na razie, być może – warknął Bordman. – Ale zanim sytuacja tu, na dole, stanie się naprawdę zła, wraca pani na statek! Mają wystarczająco dużo paliwa raketowego na kilka kursów lądownikiem. Zabiorą panią stąd na górę!

Aletha wzruszyła ramionami.

– Po co miałabym przenosić się stąd na pokład tego wraku? Przecież *Warlock* praktycznie już nim jest. Niech pan uczciwie przyzna, na ile lat szacuje pan czas potrzebny na wyekwipowanie i przybycie tutaj statku, który mógłby nas stąd zabrać?

Na to pytanie Bordman nie znalazł żadnej odpowiedzi. Myślał już nad tym. Czas podróży z Trent — najbliższej bazy Misji — tutaj, na Xosa II, wynosił około dwóch miesięcy. Spodziewano się, że *Warlock* pozostanie na orbicie dopóki przywieziony przez niego piec hutniczy, nie zdoła wypełnić ładowni statku wyprodukowanym metalem. Mógł to być krótki okres, jakichś dwu tygodni, ale nie byłoby dla nikogo zaskoczeniem, gdyby zamiast tego produkcja trwała nawet i dwa miesiące. Tak więc statek na Trent nie będzie traktowany jako opóźniony jeszcze przez cztery miesiące. Co najmniej przez dwa kolejne opóźnienie to nie będzie traktowane jako poważne. To daje jakieś sześć miesięcy, zanim ktokolwiek w ogóle zastanowi się poważnie, dlaczego statek jeszcze nie wrócił z ładunkiem.

Będą czekać na przybycie łodzi ratunkowych, tak jak to by się to stało w przypadku wypadku w przestrzeni. Ewentualnie wysłany zostanie raport o braku kontaktu do kwatery głównej Misji Kolonialnej na Canna III. Ale zanim raport ten zostanie odebrany, miną kolejne trzy miesiące, a nawet sześć, jeśli weźmiemy pod uwagę konieczność jego potwierdzenia — a i to tylko jeśli statki dokonają przelotu w najbardziej optymistycznych interwałach czasowych — a nawet wtedy oczekiwana będzie przynajmniej jakieś wołanie o pomoc lub wiadomość alarmowa z kolonii. Na dole, na powierzchni Xosa II, stało kilka łodzi ratunkowych, przeznaczonych do komunikacji w sytuacjach alarmowych, i jeżeli nie przyniosą one wieści o jakimś planetarnym kryzysie, nikt nie będzie nawet przypuszczał, że taki kryzys zaistniał. Nikt nawet nie był w stanie wyobrazić sobie możliwości awarii sieci lądowniczej!

Być może mniej więcej za rok ktoś pomyśli, że trzeba sprawdzić jak wygląda sytuacja na Xosa II. Upłynie jeszcze więcej czasu zanim ktoś położy na jakimś biurku odpowiednią notatkę, sugerującą, że kiedy już się tak przytrafi, że jakiś odpowiedni statek przelatujący będzie w pobliżu Xosa II, albo będzie akurat dostępny wolny statek do takiej misji kontrolnej, warto byłoby może zainteresować się tym tajemniczym milczeniem planety. Tak właściwie, to należy szacować, że przy najbardziej optymistycznych założeniach, upłyną co najmniej trzy lata zanim przyleci tu jakiś inny statek.

– Jest pani cywilem – krótko odparł Bordman. – Kiedy zaczną kończyć się zapasy żywności i wody, wraca pani na statek. Przynajmniej pozostanie pani przy życiu, kiedy ktoś przybędzie aby zobaczyć co się tu stało!

Aletha delikatnie odpowiedziała:

– A może pozostanę przy życiu, być może nie. A czy pan wróci na statek?

Bordman poczerwieniał. Nigdy by tego nie zrobił. Ale odpowiedział z zawziętością.

– Mogę wydać rozkaz, aby odesłać panią z powrotem na pokład, a pani kuzyn z pewnością go wykona!

– Bardzo w to wątpię – spokojnie odpowiedziała Aletha.

Wróciła do swojej pracy.

\*\*\*\*\*

Na dworze, koło kadłuba w którym siedzieli, zachrupał po czyimiś nogami piasek. Bordman skrzywił się nieco. Nawet za dnia, przy rozjarzonym słońcu, koloniści mogli swobodnie przechodzić pod gołym niebem z jednej części kolonii do drugiej, i to tylko w sandałach izolujących. On, Bordman nie był w stanie wytrzymać na zewnątrz nawet w nocy! Jego wargi wykrzywiły się z goryczą.

Weszli jacyś ludzie. Wszyscy mieli ciemną karnację, ich mięśnie rysowały się wyraźnie, pod błyszczącą skórą i brązem Amerindów. Mieli

grube, proste włosy. Razem z nimi przyszedł również Ralph Czerwone Pióro. Na samym końcu, za całą grupą, pojawił się doktor Chuka.

– Jesteśmy – powiedział Czerwone Pióro. – Oto nasi kierownicy. W tym gronie, jak myślę, będziemy mogli odpowiedzieć na wszystkie pytania, jakie zechce pan zadać.

Po kolei przedstawił wszystkich. Bordman nawet nie próbował zapamiętać nazwisk. Abeokuta, Północny Wiatr, Sutata, Wysoka Trawa, T'cka, Plamisty Koń i Lewanika... Takie nazwiska zebrane razem, można było znaleźć tylko w bardzo surowej, nowej kolonii. Ale ludzie, którzy stłoczyli w biurze zachowywali się całkowicie swobodnie, zarówno pomiędzy sobą, jak również i w obecności wyższego oficera Misji Kolonialnej. Po wymienieniu nazwiska, każdy z nich skinął głową, a ci stojący bliżej niego, podali mu rękę. Bordman uzmysłowił sobie, że w innych okolicznościach ten widok bardzo by mu się spodobał. Mniej podobało mu się jednak coś innego. Warunki życia panujące na tej planecie jego tłamsiły i upokarzały. Ich nie. A tymczasem, to według nich, wszyscy już zostali skazani na śmierć.

– Muszę sporządzić i pozostawić raport – krótko oznajmił Bordman i sam się nieco zdziwił myślą jaka go nawiedziła, że oczekuje raczej konieczności pozostawienia raportu, niż jego przekazania; zaakceptował więc mimowolnie brak nadziei na pomyślne rokowania co do przyszłości kolonii, – oceniający stopień ukończenia prowadzonych tutaj prac. Ponieważ jednak najwyraźniej kolonia stanęła wobec trudnej sytuacji, muszę również pozostawić raport w sprawie wszelkich działań podjętych, by ją rozwiązać.

Taki raport oczywiście będzie tylko próżnym gestem. Tak samo jak jedynie gestem są rejestry zasług, kompilowane przez Alethę, które zostaną przeczytane dopiero wtedy, gdy wszyscy na planecie dawno już będą martwi. Bordman wiedział jednak, że go napisze. Wręcz nie do pomyślenia było, że mógłby tego nie zrobić.

– Pan Czerwone Pióro przekazał mi – dodał, znów zwięźle, – że zapasów energii używanej do chłodzenia kolonii jak również do kondensacji wody pitnej z powietrza, wystarczy jedynie na około sześć miesięcy. Żywności mamy również na mniej więcej podobny okres. Jeśli dla zaoszczędzenia paliwa, pozwolimy budynkom nieco się nagrzać, nie będziemy mieli wystarczających ilości wody do picia. Jeśli nawet przejdziemy na połowę racji żywnościowej, aby starczyło na dłużej jedzenia, to i tak w końcu zabraknie nam wody, a energia tak czy inaczej się wyczerpie. Nic nam to nie daje!

Dookoła potwierdzające skinięcia głową. Sprawa była rozważana wielokrotnie już na długo wcześniej.

– W *Warlocku*, na górze jest żywność – Bordman chłodno kontynuował dalej, – ale nie mogą wylądować więcej niż kilka razy. Lądownik nie może korzystać z paliwa statku. Nie ma agregatów chłodzących, które utrzymywałyby jego stabilność. Wszystko to oznacza, że nie mogą przewieźć na dół więcej niż tonę zapasów. Jest tutaj pięćset osób. Nie mogą nam pomóc!

Popatrzył po kolei na każdego z nich.

– A więc żyjemy sobie wygodnie – powiedział im ironicznie, – dopóki nie wyczerpią się jednocześnie żywność, woda i minimalne warunki komfortu w nocy. Wszystko co spróbujemy zrobić, by coś zaoszczędzić, będzie bezużyteczne, ponieważ w takim przypadku braknie nam czego innego. Pan Czerwone Pióro powiedział mi, że przyjęliście do wiadomości tę sytuację. Co więc zrobiliście od tego czasu?

Doktor Chuka powiedział przyjaźnie.

– Wybraliśmy miejsce przechowywania naszych rejestrów, a górnicy przy pomocy materiałów wybuchowych wysadzają komorę, w której będziemy mogli umieścić zapisy naszych działań, oraz aktualizować je do ostatniej chwili. Magazyn będzie odpowiednio uszczelniony i nie będzie przepuszczał piasku. Nasi mechanicy budują nadajnik, na potrzeby którego zaoszczędzimy troszeczkę paliwa. Będzie działał dwadzieścia parę lat, wskazując położenie, tak więc będzie można go znaleźć, niezależnie od tego jak bardzo teren zostanie zmieniony przez nanoszony piach.

– I biorąc pod uwagę – wtrącił Bordman, – fakt, że nie będzie tutaj nikogo, kto mógłby go wskazać.

Chuka łagodnie dodał:

– Dużo czasu poświęcamy także na śpiew. Jesteśmy... eee... religijni. Kiedy... eee... nas już tutaj nie będzie... otrzymamy nagrodę za to, że będziemy dobrze wyćwiczonym chórem, gotowym do podjęcia pracy na drugim świecie.

Białe zęby rozbłysły w szerokich uśmiechach. Bordman prawie z zazdrością patrzył na ludzi, którzy mogli śmiać się z takich myśli. On jednak ponuro wszedł w słowo:

– To rozumiem, że dużą popularnością cieszy się także sport?

Czerwone Pióro odparł:

– Mieliśmy sporo czasu na niego. Zespoły wspinaczkowe zaliczały zasługi na wszystkich najgorszych górach w promieniu trzystu mil. Ustanowiliśmy nowy rekord w rzucie oszczepem, skorygowany o wartość tutejszego przyspieszenia grawitacyjnego, a Johnny Cornstalk przebiegł sto jardów w osiem i cztery dziesiąte sekundy. Aletha ma zapisy i je poświadcza.

– Bardzo, bardzo przydatne! – sardonicznie stwierdził Bordman. Mówiąc to sam siebie bardzo zniechęcił, nawet zanim jeszcze twarze brązowoskórych ludzi zastygły w wystudiowanym grymasie niewzruszenia.

Chuka pomachał ręką.

– Zaczekaj, Ralph! Siostrzeniec Lewanika pobije to w ciągu tygodnia!

Bordman znowu poczuł wstyd, ponieważ Chuka powiedział to tylko po to, aby zakamuflować jego paskudny charakter.

– Dobrze, cofam to co powiedziałem – rzucił z irytacją. – To było niestosowne. Nie powinienem tego mówić! Ale przybyłem tutaj, aby dokonać przeglądu zakończenia prac, a to co mi dajecie to są materiały dla oceny morale! To nie jest moja specjalność! Ja jestem inżynierem, przede wszystkim i po pierwsze! Stoimy tutaj wobec problemu technicznego!

Nagle spoza jego pleców odezwała się Aletha.

– Ale przede wszystkim i po pierwsze, to są ludzie, panie Bordman. A oni stoją naprzeciw bardzo ludzkiego problemu — jak godnie umrzeć. Jak dotąd wydają się być w tym całkiem dobrzy.

Bordman zazgrzytał zębami. Ponownie został upokorzony. Na swój własny sposób próbował przeciw tego samego. Ale tak samo jak genetycznie był niezdolny do zniesienia klimatu tej planety, nie był również zdolny do fatalistycznej albo religijnej akceptacji tej katastrofy. Amerindowie i Afrykanie byli podobni do siebie. Ci ludzie instynktownie trzymali się swoich własnych koncepcji tego, co nazywane było przez nich godnością człowieka, w sytuacji kiedy nie mógł on już zrobić niczego więcej i musiał umrzeć. Ale koncepcja godności człowieka zgodna ze światopoglądem Bordmana, wymagała by walczyć do końca, ciągle rzucać się do gardła losowi i przeznaczeniu, dążącemu do twojej śmierci. Miał to we krwi, w swoich genach, i było to zakodowane przez lata szkolenia. Po prostu nie był w stanie, zachowując szacunek dla samego siebie, uznać żadnej fizycznej sytuacji za beznadziejną, nawet jeśli cały jego umysł zapewniał go, że taką była.

\*\*\*\*\*

– Zgadzam się – powiedział zimno, – ale nadal muszę myśleć w kategoriach technicznych. Podsumowując więc, można by powiedzieć, że musimy umrzeć, ponieważ nie jesteśmy w stanie wylądować *Warlockiem*, z jedzeniem i wyposażeniem. Nie możemy wylądować *Warlockiem*, ponieważ nie mamy sieci lądowniczej. Nie mamy sieci lądowniczej, ponieważ ona sama i cały materiał niezbędny do jej dokończenia, pogrzebane są pod milionami ton piasku. Nie możemy zbudować nowej sieci lądowniczej, choćby takiej dla lekkich statków dostawczych, ponieważ nie mamy pieca hutniczego, by sporządzić elementy konstrukcyjne, a nawet gdybyśmy go mieli, to nie mamy energii do jego uruchomienia. Z drugiej strony, gdybyśmy mieli elementy konstrukcyjne, moglibyśmy zdobyć energię do uruchomienia pieca, którego nie mamy, co pozwoliłoby nam wyprodukować elementy konstrukcyjne. A więc nie mamy pieca, stąd nie mamy elementów konstrukcyjnych, nie mamy energii, widoków na zdobycie pożywienia lub pomoc, ponieważ nie możemy wylądować *Warlockiem*. Jak widać, to jest idealny przykład problemu cyklicznego. Jeśli w którymś punkcie przerwiemy cykl, to wszystko się rozwiąże.

Jeden z ciemnoskórych ludzi wymamrotał coś szeptem do znajdujących się blisko niego. W odpowiedzi rozległy się chichoty.

– Jak Pan Woodchuck – wyjaśnił mężczyzna, kiedy spoczął na nim wzrok Bordmana. – Kiedy byłem małym chłopcem, popularna była historyjka opowiadająca o podobnej sytuacji.

Bordman powiedział lodowatym tonem:

– Problem chłodzenia, wody i żywności należy do tego samego rodzaju. W ciągu sześciu miesięcy moglibyśmy zwiększyć nasze zapasy żywności, gdybyśmy mieli energię do kondensacji pary wodnej. Mamy



odpowiednie nawozy i chemikalia dla upraw hydroponicznych — ale nie jesteśmy w stanie ochronić roślin przed usmażeniem, zanim urosną. Problem chłodzenia, wody i żywności jest praktycznie kolejnym problemem cyklicznym.

Aletha zgłosiła propozycję:

– Panie Bordman...

Odwrócił się w jej kierunku z rozdrażnieniem. Aletha powiedziała niemal przeproszającym tonem:

– Na Chagan, kobiecie którą znam, została kiedyś przyznana... można by powiedzieć... kobieca zasługa. Jej mąż hoduje konie. Ma kompletnego bzika na ich punkcie. A tymczasem oni mieszkają w czymś w rodzaju domu na kołach, na stepowych równinach. Czasami pozostają całe miesiące z dala od osad ludzkich. Ona uwielbia lody, ale ich mrożenie nie jest rzeczą łatwą. Ma jednak doktorat z historii, specjalizuje się w historii cywilizacji. Mąż zrobił jej więc izolowaną termicznie puszkę na dachu ich przyczepy, i ona właśnie przy jej użyciu robi swoje lody.

Wszyscy popatrzyli na nią ze zdziwieniem. Jej kuzyn stwierdził z rozbawieniem.

– No, coś takiego rzeczywiście należy uznać za jakiś rodzaj technicznej zasługi, za którą należy się pióro.

– Rada przyznała jej mosiężny puchar... oficjalnie – odparła Aletha. – Osiągnięcie naukowe w dziedzinie gospodarstwa domowego. – Wyjaśniła dokładniej, zwracając się do Bordmana. – Jej mąż umieścił puszkę na dachu, na podkładzie izolacyjnym, tak by nie ogrzewała się od ciepła przenikającego z domu. W czasie dnia na wierzch kładzie pokrywę izolacyjną, tak by chronić zawartość przed ogrzaniem przez słońce. W nocy zdejmuje tę pokrywę i wlewa do puszek słodką masę na swoje lody, rozprowadzając ją niezbyt grubą warstwą na dnie. Potem idą spokojnie spać. Musi wstać przed świtem, by przykryć puszkę, ale do tego czasu lody już są kompletnie zamrożone. Nawet podczas ciepłej nocy. – Popatrzyła na nich po kolei. – Szczerze mówiąc, nie wiem dlaczego. Powiedziała, że to zostało wymyślone na Ziemi, w miejscu nazywanym Babilonią, wiele tysięcy lat temu.

Bordman zamrugał oczyma. Potem zawołał zdecydowanym tonem:

– Do diabła! Kto wie jak bardzo opada tutaj temperatura gruntu, przed świtem?

– Ja wiem – odparł słabo kuzyn Alethy. – Temperatura wierzchnich warstw piasku spada o czterdzieści kilka stopni. Oczywiście pod spodem jest dużo cieplejszy. Ale podczas wschodu słońca powietrze staje się niemal zimne. A dlaczego pan pyta?

– Noce są chłodniejsze na wszystkich planetach – wyjaśnił Bordman, – ponieważ każdej nocy ciemna strona wypromieniowuje ciepło w przestrzeń kosmiczną. Gdyby ziemia nie zgromadziła ciepła podczas dnia, każdego ranka wszędzie panowałby potężny mróz. Jeżeli zapobiegniemy akumulacji ciepła podczas dnia, izolując spłacheć ziemi przed świtem i trzymając go pod przykryciem przez cały dzień, a odkrywając i chroniąc przed wpływem ciepłych wiatrów podczas nocy — to mamy chłodzenie! Nocne niebo to przecież próżnia kosmiczna! Dwieście osiemdziesiąt stopni poniżej zera!

\*\*\*\*\*

Najpierw zaczęli coś szeptać i mamrotać między sobą. Potem śmielej dyskutowali i wymieniali argumenty. Kierownicy zespołu przygotowującego kolonię na Xosa II, byli ludźmi z praktyki, ale potrafili ocenić, czy pewne propozycje są możliwe do realizacji i dlaczego tak jest. Nie buduje się nowoczesnych konstrukcji stalowych w pogardzie dla teorii, ani nie korzysta się z nowoczesnych narzędzi górniczych bez wiedzy o tym jak, oraz na jakiej zasadzie, one działają. Ta propozycja brzmiała tak jakby oparta była na zdrowym rozsądku — powinno to do pewnego stopnia działać. Ale jak dobrze? Ktoś rzucił domysł, że powinno to obniżyć temperaturę przynajmniej dwa razy tyle co normalny jej spadek w czasie nocy. Ale ktoś inny wytknął temu rozumowaniu błędy i biegle zaczął wykonywać obliczenia. Ze zdumieniem ogłosił otrzymane przez siebie wyniki. Inni kwestionowali pewne ich elementy, a potem weryfikowali swoje uwagi. Nikt nie zwracał specjalnej uwagi na Bordmana. Ale zapanował szmer zawziętej dyskusji, do której natychmiast włączeni zostali Czerwone Pióro i Chuka. Po wykonaniu obliczeń z zaskoczeniem zorientowali się, że jeśli atmosfera na Xosa II była rzeczywiście tak przejrzysta, jak wskazywała na to jasność gwiazd i intensywny kolor dziennego nieba, zjawisko promieniowania ciepła w przestrzeń międzygwiazdną, powinno zapewnić uzyskanie co noc spadku temperatury w wysokości stu osiemdziesięciu stopni — gdyby nie było prądów konwekcyjnych, a ich wystąpieniu można przecież zapobiec...

Problem prądów konwekcyjnych podzielił członków zebrania na kilka grup proponujących różne rozwiązania. W końcu doktor Chuka huknął na wszystkich, aby wypróbowali wszystkie trzy proponowane podejścia, tak by były one gotowe przed świtem, i zebrani opuścili kadłub, ciągle dyskutując z entuzjazmem. Ktoś nawet przypomniał sobie, że na suchych obszarach planety Timbuk stosowano oparte na tej zasadzie zraszacze, a ktoś inny pamiętał, że również w podobny sposób zrealizowano system irygacyjny na Delmos III. Przypominali więc sobie jak to zostało zrobione w tamtych miejscach...

Głosy zaczęły cichnąć w oddali, w mrokach gorącej jak w piecu nocy, panującej na zewnątrz. Bordman skrzywił się i ponownie powiedział:

– Do diabła! Dlaczego sam o tym nie pomyślałem?

– Ponieważ – z uśmiechem odparła Aletha, – nie ma pan doktoratu z historii rozwoju cywilizacji ludzkiej, jeżdżącego konno męża i słabości do lodów. Tym niemniej inżynier też był tu również potrzebny, aby rozbić problem na naprawdę proste składniki. – Potem dodała jeszcze: – Myślę, że Bob Biegnąca Antylopa, mógłby pana zaaprobować, panie Bordman.

Bordman nadal był zły sam na siebie.

– A to znowu kto? I co ma oznaczać cały ten komentarz?

– Powiem panu – enigmatycznie stwierdziła Aletha, – kiedy rozwiąże pan jeszcze jeden lub dwa problemy.

Jej kuzyn wrócił do pokoju. Z widoczną satysfakcją oznajmił:

– Chuka twierdzi, że może wyprodukować izolację z wełny silikonowej. Mamy tu całe mnóstwo tego surowca, a do otrzymania niezbędnego ciepła wykorzysta zwierciadło słoneczne. Mamy więc również mnóstwo energii cieplnej do produkcji silikonów! Jak dużą powierzchnię ziemi musimy pokryć by otrzymać pięćset galonów wody na noc?

– A skąd ja mam to wiedzieć? – odparł Bordman. – Jaką macie tu zawartość pary wodnej w powietrzu? – Potem dodał z rozdrażnieniem. – Proszę mi powiedzieć! Czy używacie wymienników ciepła do oziębiania powietrza, które tłoczycie do budynków, zanim wykorzystacie do jego chłodzenia energię? To pozwoliłoby zaoszczędzić nieco energii...

Indiański inżynier projektu, powiedział z zainteresowaniem:

– Weźmy się do pracy nad tym! Ja osobiście jestem facetem od stali, ale...

Usiedli razem. Aletha zaś przewróciła kolejną stronę.

\*\*\*\*\*

*Warlock* kręcił się wokół planety. Członkowie jego załogi zamknęli się w swoich kabinach. Już w czasie dwumiesięcznej rutynowej, nudnej podróży na tę planetę, dawało się wyczuć początki irytacji słabostkami i dziwactwami innych ludzi. Teraz miało to trwać przez lata. Początkowo każdy z nich starał się unikać pozostałych, aby jak najbardziej odsunąć w czasie chwilę, kiedy znienawidzi swoich kolegów ze statku. Monotonia już wcześniej stała się czymś tak zwykłym, że jej kontynuacja była tylko znanym złem. Załoga *Warlocka* z góry wiedziała, jak trudni do zniesienia staną się niebawem dla siebie nawzajem, i wiedza ta już teraz skłaniała ich do nienawiści w stosunku do wszystkich, poza własną osobą.

Po dwu dniach od wejścia na orbitę, *Warlock* obsadzony był już przez ludzi chorobliwie dotkniętych oczekującym ich przeznaczeniem; charakteryzujących się psychiką więźniów skazanych na zamknięcie przez nieokreślony, ale strasznie długi czas. Trzeciego dnia odbyła się kolejna bijatyka na pięści. Bardzo żałosna.

Bójki na statku kosmicznym nie są zdrowym symptomem, zwłaszcza na takim statku, który jeszcze przez całe lata nie może mieć nadziei na zawinięcie do portu.

\*\*\*\*\*

Większość ludzkich problemów ma charakter cykliczny i znikają one same, dzięki rozwiązaniu jednego, niewielkiego i zazwyczaj trywialnego, z ich elementów składowych. Typowym przykładem jest wrogość między rasami spowodowana różnicami między nimi, a różnice powstają ponieważ rasy były sobie wrogie, co powodowało pogłębianie się wrogości...

Potężnym problemem w rozwoju lotów międzygwiazdnych był fakt, że nic nie mogło poruszać się szybciej niż światło, a nic nie było w stanie poruszać się szybciej niż światło, ponieważ masa rosła wraz z szybkością. Masa rosła wraz z szybkością — oczywiście! — ponieważ statki pozostawały w tej samej szczelinie czasowej. A statki pozostawały w tej samej szczelinie czasowej, jeszcze na długo po tym gdy odkryto zjawisko sekundowego przesunięcia, ponieważ nikt nie był w stanie wyobrazić sobie tego, że oznaczało to poruszanie się szybsze niż światło. A nawet później, po pojawieniu się możliwości podróży międzygwiazdnych, handel między planetami praktycznie nie istniał, ponieważ start i lądowanie wymagały zbyt dużych ilości paliwa. Jeszcze większych ilości paliwa wymagało wyniesienie w górę paliwa potrzebnego do lądowania i ponownego startu. A jeszcze większych, wymagał start i lądowanie z tą dodatkową masą paliwa... Dopóki ktoś nie użył do wyniesienia statku energii naziemnej, zamiast nim startować, i do sprowadzenia go na ziemię, zamiast lądować. Wtedy dopiero statki międzyplanetarne mogły zacząć przewozić ładunki. Niebezpieczna sytuacja na Xosa II powstała, ponieważ burza piaskowa pogrzebała niemal ukończoną sieć lądowniczą pod kilkoma milionami ton piasku i nie mogła ona zostać ukończona, gdyż kolonia dysponowała jedynie niewielką ilością zmagazynowanej energii. Kolonia nie miała energii, ponieważ prace nad siecią lądowniczą nie zostały ukończone. Prace nie mogły zostać ukończone, ponieważ kolonia dysponowała jedynie niewielką ilością zmagazynowanej energii...

Jednak aż trzy tygodnie zabrało, zanim zorientowano się, jak bardzo prostą kwestią był ten cały problem. Bordman nazwał go problemem cyklicznym, ale nie do końca dostrzegł naturę cyklu leżącego u jego podstaw. W gruncie rzeczy był to — jak w przypadku wszystkich problemów cyklicznych — z natury niestały zbiór warunków. Problem zaczął się rozlatywać, kiedy dostrzegł, że prosta kwestia chłodzenia powinna rozbić jego strukturę.

Tydzień zabrało pokrycie dziesięciu akrów pustyni wielkimi pasami z wełny silikonowej. Za dnia odwrócone były one do góry powierzchnią odbijającą, o zachodzie słońca ciągniki gąsienicowe zahaczały je linami holowniczymi i sprawnie odwracały na drugą stronę, wystawiając czarną, posiatkowaną stronę na światło gwiazd. Siatka była precyzyjnie zaprojektowana, tak że wiatry wiejące przez pasy wełny nie powodowały zawirowań w okach siatki i znajdujące się w tych swoistych kieszeniach oziębione powietrze pozostawało nienaruszone. Eliminowało to również zjawisko przewodzenia ciepła w dół przez prądy powietrzne, zawirowań występujących podczas jego emisji w przestrzeń kosmiczną. Było to normalne zjawisko występujące po nocnej stronie każdej planety, tylko nieco bardziej efektywne.

\*\*\*\*\*

W ciągu dwóch tygodni osiągnięto produkcję wody wielkości trzech tysięcy galonów na noc, a po trzech tygodniach podobne siatki pokrywały wszystkie zabudowania kolonii i zaczęto wykorzystywać potężne dachowe zbiorniki oziębiające do wstępnego obniżenia temperatury powietrza wykorzystywanego w samym systemie chłodzenia. Okres na jaki powinny wystarczyć zapasy paliwa — zmagazynowanej energii — wzrósł dzięki temu trzykrotnie w stosunku do poprzednio szacowanych możliwości. Sytuacja przestała być opisywana przez proste, oczywiste i bezlitosne równania rozpaczy.

Potem zdarzyło się coś innego. Jeden z asystentów doktora Chuki zainteresował się pewnym minerałem. Stopił go przy użyciu pieca słonecznego, wykorzystywanego do produkcji wełny silikonowej. Doktor Chuka zauważył to. Po chwili zaskoczenia wybuchnął śmiechem i pobiegł porozmawiać z Ralphem Czerwone Pióro. W konsekwencji Amerindiańscy monterzy pocięli jeden z kadłubów automatycznych statków transportowych, wykorzystywanych wcześniej jako zbiornik paliwa, który obecnie po jego wyczerpaniu stał pusty, i zbudowali przenośne lustro słoneczne, o średnicy jakichś sześćdziesięciu stóp. Afrykańscy mechanicy odpowiednio je podłączyli — i nagle na powierzchni planety Xosa II pojawił się jaskrawy punkt, jaśniejszy nawet niż słońce. Skierowany został na zbocze górskie pełne minerałów, powodując powstanie gigantycznych płomieni, których jasność spowodowała, że nawet afrykańscy technicy górniczy nałożyli gogle. Wkrótce w dół zbocza zaczęły niepewnie płynąć nitki stopionego metalu i kapiącego żużlu, rozdzielając się coraz bardziej, w miarę jak spływały coraz niżej.

Doktor Chuka rozpromienił się cały i aż klepał się rękoma w spoczone uda, a Bordman, ubrany w kombinezon termiczny, wyszedł z ciągnika gaśnicowego i przyglądał się wszystkiemu przez dwadzieścia minut. Po powrocie do biura Inżyniera Projektu, wypił mrożoną wodę z solą, i zaczął przekopywać książki, które przywiózł ze sobą na dół ze statku. Był to przede wszystkim opis warunków na Xosa II oraz inne tomy, zawierające standardy i leksykony wydane przez Misję Kolonialną. Zawierały one szczegółowe definicje terminów i warunków użytych w krótszych specyfikacjach, dla elementów wyposażenia zamawianego czasami przez Biuro Kolonii.

\*\*\*\*\*

Kiedy wkrótce potem do biura przyszedł Chuka, w założonej na dłoń rękawicy, trzymał pierwszą bryłę surówki żelaznej, otrzymanej na Xosa II. Wręcz napawał się jej widokiem. Bordmana akurat nie było, a Ralph Czerwone Pióro gorączkowo pracował przy swoim biurku.

– Gdzie jest Bordman? – zapytał Chuka swoim dudniącym basem. – Gotów jestem zgłosić punkt, do raportu na temat stopnia zagospodarowania, mówiący że przedsiębiorstwa górnicze na Xosa II od dnia dzisiejszego, przygotowane są do dostarczania surówki żelaza,

kobaltu, cyrkonu i berylu w ilościach handlowych! W chwili obecnej, ponieważ mamy za mało sprzętu, do rozpoczęcia dostaw wymienionych metali innych niż żelazo, wymagamy zawiadomienia o zapotrzebowaniu, z jednodniowym wyprzedzeniem. Możemy również uruchomić dostawy chromu i manganu, lecz z dwudniowym okresem wyprzedzenia, ponieważ ich złoża położone są w większej odległości od bazy.

Rzucił bryłę metali na drugie biurko, przy którym siedziała Aletha, z leżącymi przed nią jej nieśmiertelnymi tomiszczami segregatorów pospinyanych kartek. Metal dymił i zaczął przypalać blat biurka. Podniósł więc bryłę ponownie i zaczął przerzucać z rękawicy założonej na jednej ręce do drugiej.

– Popatrz, Ralph! – przechwalał się. – Twoi Indianie biegają za zasługami! Tę zasługę musisz przypisać mi! Bez paliwa i żadnego sprzętu, poza tym własnej roboty – przyznaję wam punkt za pomoc przy lustrze, ale to wszystko – jesteśmy przygotowani aby wypełnić ładownie każdego statku, jaki przybędzie tutaj po towar! A ty co robisz dla naszych rejestrów? Mam nadzieję, że to czego dokonaliśmy, obetrze ci trochę łezki z oczek!

Ralph tylko na moment podniósł wzrok. Jego oczy jaśniały. Bordman pokazał mu coś wcześniej, a on teraz gorączkowo przepisywał liczby i formuły z jednej z sekcji z podręczników standardów Misji Kolonialnej. Książki rozpoczynały się od specyfikacji antybiotyków i wyposażenia do hodowli ich kultur, dla kolonii mających problemy z miejscowymi bakteriami. Kończyły się specyfikacjami wymaganych wytrzymałości materiałowych i zasadami projektowymi dla klatek w ogrodach zoologicznych dla żywej fauny, podzielonej na stworzenia latające, pływające i naziemne, rozbite dalej na zwierzęta mięsożerne, roślinożerne i wszystkożerne, z specjalnymi specyfikacjami dla aneksów do przechowywania stworzeń głębinowych, wymagających ekstremalnych ciśnień, oraz wyposażenia utrzymującego przy życiu zwierzęta oddychające trującą atmosferą planet metanowych.

Czerwone Pióro korzystał z tomu trzeciego, który był otworzony na rozdziale „Sieci ładownicze. Najłżejsze. Schroniska alarmowe, faktorie handlowe. Do użytku w”. Wzdłuż najbardziej uczęszczanych szlaków kosmicznych, na kilkudziesięciu nieskolonizowanych planetach, utrzymywano schroniska dla ewentualnych rozbitków ze statków kosmicznych. Obsadzały je niewielkie siły spośród personelu Patrolu. Obsługiwane były przez kosmiczne szalupy ratunkowe. Miały jedynie minimalne instalacje, pobierające energię z jonosfery swoich planet, i przeznaczone były do sprowadzania na ziemię łodzi ratunkowych, nie większych niż dwadzieścia ton. A specyfikacje sprzętu dla takich właśnie schronisk włączone zostały do książek ze standardami, wykorzystywanymi przez Bordmana podczas przeglądów i inspekcji kolonii. Zestawione zostały na potrzeby kontraktorów, którzy chcieliby składać oferty na przetargi na instalacje dla Misji Kolonialnej oraz aby wspomagać pracę ludzi takich jak Bordman, których zadaniem była kontrola realizacji tych kontraktów. Zawierały więc wszystkie niezbędne dane do tego aby w razie

potrzeby, zbudować sieć lądowniczą, najlżejszą do użytku w schroniskach i faktoriach handlowych. Czerwone Pióro gorączkowo je przepisywał.

Chuka przerwał swoje przechwałki, ale nadal uśmiechał się szeroko.

– Wiem, że jesteśmy udupieni, Ralph – powiedział przyjaźnie, – ale to jest sympatyczna rzecz, którą można umieścić w rejestrach. To szkoda, że nie mamy rejestrów zasług, jak twoi Indianie!

Kuzyn Alethy – Inżynier Projektu – odparł mu dosadnie:

– Odczep się! Kto zrobił to twoje lustro słoneczne? To było coś więcej niż tylko pomoc! Idź pomyśleć, jak odlać dla nas belki! Dźwigary! Mam zamiar wysłać na górę, i dalej na Trent łódź ratunkową! Zbudujemy sieć lądowniczą o jak najmniejszych rozmiarach! Zaalarmujemy ich, żeby przysłali nam statek kolonialny z zapasami! Jeżeli nie trafi się żadna nowa katastrofalna burza piaskowa, która zasypałaby chłodnice radiacyjne, pomysłu Bordmana, może uda nam się przeżyć na hydroponice, zanim nie przybędzie statek z niezbędnymi rzeczami!

Chuka stał z wytrzeszczonymi oczyma.

– Nie chcesz chyba powiedzieć, że mamy jakąś szansę na przeżycie! Naprawdę?

Aletha spojrzała na nich obydwu z bezdenną ironią.

– Panie doktorze – powiedziała mu najdelikatniej jak potrafiła, – dokonał pan rzeczy niemożliwej. Ralph, tutaj ma zamiar spróbować czegoś co wydawałoby się wręcz absurdalne. Czy nie przyszło panu do głowy, że Bordman zadręcza się by osiągnąć coś niepojętego? To trudne do wyobrażenia, nawet dla niego samego, ale próbuje to zrobić!

– A co takiego próbuje zrobić Bordman? – zapytał Chuka z ostrożnym ale widocznym rozbawieniem.

– On próbuje – wyjaśniła Aletha, – udowodnić sam sobie, że jest najlepszy na tej planecie. Ponieważ fizycznie przystosowany jest do życia tutaj, najgorzej z nas wszystkich. Jego próżność bardzo poważnie ucierpiała. Nie lekceważcie go!

– On niby ma być tutaj najlepszy? – z pustką w głowie dopytywał się Chuka. – Na swój sposób jest całkiem niezły. Udowadnia to choćby ten pomysł z chłodzeniem. Ale nie może się nawet ruszyć na zewnątrz bez kombinezonu termicznego.

Ralph Czerwone Pióro stwierdził sucho, nie przerywając swojej gorączkowej pracy:

– Nonsens, Aletha. Jest odważnym człowiekiem. Muszę mu to oddać. Ale nie byłby w stanie chodzić po belce tysiąc dwieście stóp nad ziemią. Na swój własny sposób, tak. To zdolny człowiek. Ale najlepszy...

– Och, jestem pewna – zgodziła się Aletha, – że on również nie potrafi śpiewać nawet tak dobrze, jak najgorszy z pańskiej śpiewającej ekipy, doktorze Chuka. A każdy Amerind jest w stanie prześcignąć go na dowolnym dystansie. Pewnie nawet ja dałabym mu radę! Ale chociaż posiadamy także inne zdolności, których on nie ma, to z kolei on ma coś, czego nie mamy my. Jesteśmy zadufani w nasze umiejętności. Wiemy co możemy zrobić, i także co możemy zrobić lepiej niż jakaś – jej oczy zaiskrzyły ironią – blada twarz. On natomiast cały czas w siebie wątpi. Bez

przerwy i na wszystkie sposoby. I właśnie dlatego może zostać najlepszy na tej planecie. Mogę się założyć, że wkrótce to udowodni!

Czerwone Pióro rzucił lekceważąco:

– To przecież właściwie ty zasugerowałaś metodę chłodzenia z wykorzystaniem radiacji nocnej ciepła! Co niby ma udowodnić fakt, że on ją zastosował?

– To – odparła Aletha, – że on organicznie nie jest w stanie stać z opuszczonymi rękoma wobec katastrofy jaka nas czekała, nie próbując czegoś zrobić w tej sprawie — nawet kiedy wydawało się to niemożliwe. Nie potrafi pogodzić się z faktem nieuchronności śmierci. Musiał zamęczać sam siebie rozważaniami, że być może nie jest ona taka nieuchronna, jeśli tylko to lub tamto troszeczkę się popchnie. Jego próżność ucierpiała, ponieważ natura zmoęła człowieka. Jego godność została obrażona. A człowiek, którego godność tak łatwo zranić, być może nigdy nie będzie szczęśliwy, ale może być całkiem dobry!

Chuka podniósł swoje hebanowe cielsko z krzesła, na którym siedział, ciągle przerzucając swoją bryłę żelaza z jednej rękawicy do drugiej.

– Jest pani bardzo uprzejma – powiedział, chichocząc. – Za uprzejma. Nie chciałbym urazić jego uczuć. Ba, nie zrobiłby tego za żadne skarby świata. Ale naprawdę... Nigdy jeszcze nie sęyszałem, żeby człowieka chwalono za jego próżność, albo podziwiano za to, że jest przewrażliwiony na punkcie własnej godności! Jeżeli pani ma rację... no cóż... to było dla nas bardzo przydatne. Nawet być może otwiera to nadzieje na przyszłość. Ale... hmmm... Czy chciałaby pani poślubić takiego człowieka?

– Niech mnie Wielki Manitou broni! – zdecydowanie odparła Aletha. Skrzywiła się na samą nawet myśl. – Jestem Amerindem. Chciałabym, żeby mój mąż był zadowolony z życia. Chcę być z niego zadowolona razem z nim. Pan Bordman nigdy nie będzie szczęśliwy ani zadowolony. Żadna biała twarz nie nadaje się na mojego męża! Ale wydaje mi się, że on tutaj jeszcze nie skończył. Nie zadowoli go tylko wezwanie pomocy. To w dalszym ciągu będzie raniło jego próżność. Uzna siebie za nic nie wartego, jeśli nie udowodni — samemu sobie — że człowiek jest silniejszy od natury!

Chuka wzruszył swoimi masywnymi ramionami. Czerwone Pióro znalazł ostatnią rzecz której potrzebował i energicznie zerwał się na nogi.

– Ja dużo żelaza jesteś w stanie wyprodukować, Chuka? – zapytał. – Co możesz zrobić w sprawie sposobu odlewów? Jaki jest współczynnik elastyczności — jak dużo jest w tym żelazie węgla? I kiedy mógłbyś zacząć produkować odlewy? Zwłaszcza dużych elementów?

– Chodźmy pogadać z moimi kierownikami – powiedział z samozadowoleniem w głosie Chuka. – Zobaczmy jak szybko moje... eee... mineralne źródło... może produkować strumienie metalu na zboczu góry. Jeżeli rzeczywiście dasz radę wysłać łódź ratunkową, moglibyśmy doczekać się jakiejś pomocy w ciągu półtora roku, zamiast pięciu lat...

\*\*\*\*\*



Razem wyszli z kontenera. Z sąsiedniego biura dobiegł jakiś cichy stuk. Aletha nagle stanęła nieruchomo. Nawet nie drgnęła przez dobre pół minuty. Potem odwróciła głowę.

– Jestem panu winna najszczerze przeprosiny, panie Bordman – powiedziała z żalem w głosie. – Oczywiście mojego impertynenckiego zachowania nie da się już cofnąć, ale... naprawdę bardzo mi przykro.

Bordman z sąsiedniego pokoju przeszedł do biura. Był wyraźnie blady. Cierpko odparł:

– Wścibscy ludzie nigdy nie dowiadują się niczego dobrego o sobie, co nie? Właściwie, to właśnie tu szedłem, kiedy nagle usłyszałem pewne... wypowiedzi na swój temat, które wprawilyby Chukę i pani kuzyna w zakłopotanie, gdyby się dowiedzieli, że doszły do mich uszu. Tak więc stanąłem na boku. Nie po to, żeby podsłuchiwać, ale po to by oni nie dowiedzieli się, że poznałem ich prywatne zdanie o mojej osobie. Będę zobowiązany, jeśli pani im o tym nie powie. Mają prawo mieć swoją opinię na mój temat. Jam również mam swoją odnośnie ich samych. – Dodał poważnym tonem. – Widocznie ja myślę lepiej o nich, niż oni o mnie!

Aletha powiedziała ze skruszoną miną:

– To musiało być okropne! Ale oni... my... wszyscy myślimy o panu lepiej niż pan sam myśli o sobie!

Bordman wzruszył ramionami.

– A już szczególnie pani. „Czy poślubiłaby pani takiego człowieka jak ja? Wielki Manitou, nie!”.

– Do tego akurat mam dobre powody – twardo odparła Aletha. – Kiedy wrócę stąd do domu... jeżeli wrócę stąd do domu... to wyjdę za mąż za Boba Biegnąca Antylopę. To bardzo miły człowiek. Podoba mi się pomysł ślubu z nim. Chcę tego! Chcę jednak od życia nie tylko szczęścia, ale również zadowolenia. Dla mnie to bardzo ważne. Pańskie cele są inne, i takie same powinny być cele kobiety z którą się pan ożeni. A ja... cóż... ja po prostu panu nie zazdroszczę, ani troszeczkę.

– Taaak... rozumiem – oznajmił Bordman głosem ociekającym ironią. Nie rozumiał. – Życzę pani całej masy zadowolenia, którego pani szuka. – Potem warknął: – Ale czego więcej, ten cały kramik dokoła, oczekuje jeszcze ode mnie? Jaki to niby spektakularny pomysł mam teraz wyciągnąć z rękawa, zgodnie z pani oczekiwaniami? Ponieważ niby to jestem takim szaleńczo próżnym człowiekiem!

– Nie mam zielonego pojęcia – spokojnie odparła Aletha. – Myślę jednak, że wyskoczy pan z czymś, czego my nawet nie jesteśmy w stanie sobie wyobrazić. I wcale nie powiedziałam, że zrobi to pan dlatego że jest pan próżny, ale dlatego że jest pan z siebie niezadowolony. To pańska wrodzona cecha! A pan po prostu już taki jest!

– Jeśli chciała pani powiedzieć neurotyczny – warknął Bordman, – to grubo się pani myli. Nie jestem neurotykiem! Nie. Jestem tylko wściekły. Z powodu tego całego bałaganu, beznadziejnie wypadłem z rozkładu! I to wszystko!

Aletha wstała i przeprasza ją skinęła ramionami.

– Powtarzam jeszcze raz, że przepraszam – powiedziała do niego. – I zostawiam panu całe biuro do dyspozycji. Chciałabym jednak powtórzyć, że według mnie, wykręci pan coś, czego nikt jeszcze nawet nie oczekuje, i nie mam pojęcia co to będzie. I robi pan to już wkrótce, po to aby udowodnić, że mylę się w mojej opinii o tym, jak pracuje pański umysł.

Wyszła. Bordman mocno zacisnął szczęki. Odczuwał to niesamowicie natrętne wrażenie niepokoju, wynikające z podejrzania, że ktoś tu wygłosił kilka słów o nim, które przypadkiem mogą być prawdziwe.

– To idiotyczne! – wściekał się w samotności. – Ja neurotykiem? Ja niby to miałbym chcieć z czystej próżności udowodnić wszystkim, że jestem najlepszy? – Wydał z siebie pogardliwe prychnięcie. Z niecierpliwością usiadł na biurku. – Absurd! – wymamrotał ze złością. – Dlaczego to niby miałbym sam sobie udawadniać do czego jestem zdolny? Tym niemniej, gdybym kiedykolwiek odczuł taką potrzebę, to co powinienem zrobić?

Groźnym wzrokiem wpatrywał się w ścianę. To było irytujące. To był bardzo dokuczliwy rodzaj pytania. Co by zrobił, gdyby miała rację? Gdyby faktycznie potrzebował nieustannie udawadniać samemu sobie...

Nagle cały zeszytniał. Na jego twarzy pojawił się wyraz kompletnego, całkowitego niedowierzania. Rozmyślał o tym, co taki nieustannie wąpiący i niezadowolony z siebie człowiek mógłby spróbować zrobić w tej sytuacji. Właśnie tu, na Xosa II, podczas tego kryzysu.

Zaskoczeniem było to, że wymyślił także jak można by to zrobić.

\*\*\*\*\*

*Warlock* obudził się do życia. Jego kapitan przyjął wezwanie alarmowe z powierzchni Xosa II początkowo z ponurą miną. Wysłuchał go do końca, a następnie kliknięciem przełącznika wyłączył komunikator i pośpieszył do zewnętrznego wizjera, mocno przyciemnionego, aby zabezpieczyć się w okresach, gdy niebiesko-białe słońce Xosa świeciło z tej strony kadłuba. Przesunął ręczną dźwignię tak by wizjer stał się bardziej przezroczysty. Wpatrywał się w dół, w monstrualną, śniadą, nakrapianą powierzchnię planety, odległą o pięć tysięcy mil. Szukał wzrokiem punktu, w którym, jak wiedział, nawet aż za dobrze, znajdowała się kolonia.

Zobaczył dokładnie to, co mu powiedziano. Z powierzchni planety strzelał niesamowicie delikatny nitkowaty ślad, jakby eksplozji, czy też wybuchu. Wznosił się pod ostrym kątem — odchylając się ku zachodowi planety — jednocześnie rósł i rozszerzał się od góry, aż w końcu przyjął niezwykle kształt, zbliżony do grzyba, co wydawało się zupełnie niemożliwe. Zjawisko nie mogło mieć materialnego charakteru. Ludzie nie potrafią tworzyć widocznych z orbity obiektów o wysokości dwudziestu mil, których wierzchołek rozkłada się jak kapelusz muchomora, stojącego na niezwykle długim i wysmukłym ogonie, które w dodatku dryfują w kierunku zachodnim, strzępią się i wydłużają, ale są nieustannie odtwarzane.

Nie ulegało jednak wątpliwości, że obiekt był prawdziwy. Kapitan *Warlocka* przyglądał mu się, dopóki nie był zupełnie pewien. To nie mogła być bomba atomowa, ponieważ zjawisko ciągle trwało. Miejscami fragmenty grzyba rozpraszały się, ale przez cały czas były uzupełniane. Coś takiego po prostu nie miało prawa istnieć!

Przeszedł przez statek pokrzykując na wszystkich i stawiając czoła buntowniczym pomrukom. Kiedy jednak *Warlock*, po okrążeniu planety, ponownie znalazł się na tej samej stronie cała załoga również mogła obejrzeć to dziwne widowisko. Badali je przy pomocy teleskopów. Powszechnie rósł nastrój histerycznego szczęścia. Wszyscy szaleńczo rzucili się w wir pracy, aby usunąć ślady trwającego przez półtora miesiąca buntu i braku nadziei.

Trzy dni zajęło im doprowadzenie statku do jego poprzedniej schludności, a przez cały ten czas dziwny śniady wytrysk ciągle pozostawał widoczny. Szóstego dnia wytrysk wydawał się słabnąć. Siódmego jednak był większy niż przedtem. I stawał się coraz większy. Pracujące na największych powiększeniach teleskopy weryfikowały dokładnie to, co przekazywały im komunikaty alarmowe z powierzchni.

Wtedy załoga zaczęła odczuwać szaleńczą niecierpliwość. Oczekiwanie przez ostatnie trzy, cztery dni, było nawet gorsze niż poprzednio przeżywany czas beznadziei. Tym razem jednak nie było powodu, do wzajemnej nienawiści. Kapitan odczuwał naprawdę olbrzymią ulgę.

\*\*\*\*\*

Prosto nad ich głowami wisiało tysiąc osiemset stóp kwadratowych stalowej kratownicy. Uformowana była z ożebrowania w kształcie pierścienia, i miała wysokość ponad jednej czwartej mili, sięgając niemal do wierzchołków otaczających ją gór. Dolina w której się znajdowali nie była jednak tak zupełnie zwyczajna. W zasadzie obecnie było to coś w rodzaju krateru. Stożkowaty lej w piasku, o stromych zboczach, gładko opadających w kierunku błyszczących czerwienią zewnętrznych dźwigarów stalowej konstrukcji. Kolejne belki, uzupełniające konstrukcję kratownicy, zamontowane tuż poza półmilowym obwodem leja, wysuwały się już z piasku. A w samym środku sieci lądowniczej znajdował się jakiś mniejszy, wymyślny, otoczony dźwigarami obiekt. Spoczywał na gołej skale, był obdarty, nie pomalowany, a w porównaniu z rozmiarami całej konstrukcji wydawał się mały i niepozorny. Miał może ze sto stóp wysokości i nie więcej niż trzysta średnicy. Wyraźnie wyglądał na miniaturę właśnie odkopanej, i ponownie odmalowanej sieci lądowniczej, która była w stanie obsługiwać olbrzymie międzygwiazdne statki towarowe i cały ruch kosmiczny planety, spełniającej rolę kolonii wydobywczej.

W dół ściany leja zjeżdżała ciężarówka gąsienicowa, przychyłając się, zataczając i grzmiąc silnikiem. Wyposażona była w osłonę przeciwsłoneczną i skrzydła zabezpieczające przed promieniowaniem odbitymi od ziemi, a na siodle do jazy konnej w tylnej części ładunkowej

pojazdu, z trudem siedział wyczerpany Bordman. Oczywiście miał na sobie również kombinezon termiczny.

Ciężarówka dotarła na dół leja. Na samym jego dnie stała szopa na narzędzia. Ciężarówka dotoczyła się aż do niej i zatrzymała. Bordman wygramolił się z pojazdu, wyraźnie sponiewierany przez pełną wstrząsów, szarpnięć i wyczerpującą dla nieprzywykłych mięśni jazdę.

– Czy chciałby pan na chwilę wejść do szopy i nieco się ochłodzić? – bez ogródek zapytał Chuka.

– Ze mną wszystko w porządku – szorstko odparł Bordman. – Jest mi całkiem wygodnie, dopóki pompuje mnie pan tym sprężonym powietrzem.

– W oczywisty sposób było widać, że konieczność korzystania ze specjalnie przygotowanego powietrza odczuwał jako obraźliwą. – O co chodzi z tym całym cyrkiem? Ściągamy na dół *Warlocka*? Dlaczego panowie nalegaliście na moją obecność?

– Ralph ma problem – uprzejmie wyjaśnił Chuka. – Jest tam, na górze. Widzi pan? Potrzebuje pana. Tu jest winda. Przecież i tak ma pan sprawdzić stopień ukończenia prac. Kiedy będzie pan tam na górze, może pan rozejrzeć się nieco po terenie. Chciałby też, aby pan coś zobaczył. To tam, gdzie widać tę małą grupkę ludzi. No, jest platforma.

Bordman skrzywił się nieco. Kiedy już ktoś brał się za robotę w Misji, musiał się przyzwyczaić do wysokości, głębin i środowisk najróżniejszego typu. Ale on nie wjeżdżał na szczyt konstrukcji stalowej sieci ładowniczej, już od dobrych paru miesięcy. Od czasu inspekcji na Kalka IV, prawie rok temu. Przede wszystkim będzie więc miał zawroty głowy.

Podszedł razem z Chuką do miejsca, w którym z cieniutkiej, niemal niewidocznej belki, hen, wysoko w górze zwisała stalowa lina. Na dole umocowana do niej była absolutnie nie budząca zaufania, prowizoryczna klatka — zwykła platforma złożona z paru desek na podłodze i chybotałej poręczy — która mogła pomieścić czterech ludzi. Wszedł do niej, a doktor Chuka stanął obok niego. Chuka pomachał ręką. Klatka ruszyła w górę.

W miarę jak ziemia pozostawała coraz bardziej w dole, Bordman zaczął czuć się coraz gorzej. Zwisanie w takiej pustce było dla niego wręcz koszmarem. Najchętniej w ogóle zamknąłby oczy. Klatka jechała w górę, coraz wyżej i wyżej. Minęło wiele bardzo długich minut, zanim dotarła na sam szczyt konstrukcji.

Na wierzchołku sieci znajdowała się platforma. Świeżo wykonana. Promieniowanie słoneczne było oślepiająco jaskrawe. Krajobraz wokoło wręcz płonął blaskiem nie do zniesienia. Bordman ustawił swoje gogle na maksymalne zaciemnienie i ostrożnie dał kroka z kołyszącej się klatki na nieco bardziej solidnie wyglądający podest. Był tu, w samym środku przestworzy, na platformie mającej ledwie dziesięć stóp kwadratowych. Znajdował się nad ziemią na wysokości chyba ze dwa razy większej, niż wysokość metropolitalnego drapacza chmur. W gruncie rzeczy, nawet znajdujące się pół mili stąd grzbiety górskie, nie były dużo większe. Bordman miał poczucie ostrego dyskomfortu. Powinien już się do tego przyzwyczaić, ale...

\*\*\*\*\*

– A więc? – zapytał z rozdrażnieniem. – Chuka powiedział, że potrzebuje mnie pan tutaj. O co chodzi ?

Ralph Czerwone Pióro, bardzo formalnie skinął głową. Była tu również Aletha, dwóch z kierowników Chuki — jeden z nich również nie wyglądał na szczęśliwego — i czterech amerindiańskich budowniczych konstrukcji stalowych. Uśmiechali się w stronę Bordmana.

– Chciałem pana zobaczyć – odparł kuzyn Alethy, – zanim włączyliśmy zasilanie. Nie wyglądało na to, aby ta mała sieć mogła dać radę tej ilości piachu, która była dla nas problemem. Ale Lewanik chciałby złożyć raport.

Ciemnoskóry człowiek, podwładny Chuki — właśnie ten, który wyglądał jakby czuł się lepiej na stałym lądzie — ostrożnie oznajmił:

– Odlaliśmy belki dla małej sieci lądowniczej, panie Bordman. Wytopiliśmy metal ze zbocza górskiego i kiedy spływał w dół, skierowaliśmy go do form.

Przerwał. Jeden z Indian podjął wątek:

– Wykonaliśmy szkielet konstrukcji małej sieci lądowniczej. Niepokoiło nas to, ponieważ budowaliśmy ją na piasku, który pogrzebał dużą sieć. Nie rozumieliśmy dlaczego polecił pan zrobić to właśnie tutaj. Ale zbudowaliśmy ją.

Drugi z ciemnoskórych ludzi powiedział ze śladem zuchwałości w głosie:

– Wykonaliśmy uzwojenia, panie Bordman. Przygotowaliśmy małą sieć, tak by mogła ona pracować tak samo jak duża po jej ukończeniu. A ponadto zbudowaliśmy dużą sieć, skończoną, czy nie!

Bordman przerwał ze zniecierpliwieniem:

– W porządku. Bardzo dobrze. Ale co to ma być? Jakaś uroczystość?”

– Dokładnie tak – uśmiechając się potwierdziła Aletha. – Trochę cierpliwości, panie Bordman!

Jej kuzyn kontynuował uroczystym tonem:

– Zbudowaliśmy małą sieć na szczycie góry piasku. I ściągnęliśmy energię z jonosfery. Wtedy nie brakowało już nam energii! I ustawiliśmy małą sieć tak, by wysyłała w górę piasek, a nie statki. Nie tak, aby wysłać go w kosmos, ale tak by nadać mu pionową prędkość mili na sekundę. Potem ją włączyliśmy.

– A potem wbiliśmy ją w ziemię, tę małą sieć! – zawołał jeden z pozostałych Indian, szczerząc zęby. – Ale zabawa! Manitou!

Czerwone Pióro spojrzał na niego groźnie i podjął opowiadanie:

– A ona zaczęła wyrzucać ze środka piasek. Dokładnie tak jak pan powiedział, wymiotła piasek w powietrze! Utworzyła trąbę powietrzną, podnosząc piasek z zewnątrz małej sieci, zagarniając go do swojego pola. Aby go poruszyć potrzebny był wir powietrza wytworzony przy pomocy energii o mocy piętnastu megawatów. Część piachu uniosła się nawet na wysokość dwudziestu mil.

– Potem utworzył się grzybiasty kapelusz i wiatry w górze zdmuchnęły go na zachód. Wylądował daleko stąd, panie Bordman. Stworzyliśmy nowy

obszar wydmowy, dziesięć mil po zawietrznej. A mała sieć lądownicza zapadała się, w miarę jak piasek wokół niej odlatywał do góry. Trzykrotnie musieliśmy przerywać pracę, ponieważ maszyna przechylała się na bok. Musieliśmy kopać pod jej elementami, aby ją ponownie wyprostować. Ale w końcu dotarła na dno doliny.

Bordman podkreślił silniczki swojego kombinezonu termicznego. Czuł niesamowite gorąco.

– W ciągu sześciu dni – kontynuował Ralph, w prawie ceremonialny sposób, odstłoniliśmy niemal połowę oryginalnej sieci, którą zbudowaliśmy. Wtedy mogliśmy ją również włączyć, tak by wyrzucała piasek i pobierała energię z jonosfery. Dzięki temu do unoszenia piasku mogliśmy użyć, dobre kilka razy więcej energii, niż mogła dać mała sieć lądownicza! Po kolejnych dwóch dniach, cała duża sieć lądownicza została oczyszczona. Dno doliny zostało opróżnione. Przy pomocy sieci lądowniczej, przesunęliśmy setki milionów ton piasku, i teraz możliwe stało się sprowadzenie na ziemię *Warlocka*, tak byśmy mogli odebrać przywiezione przez niego zapasy. Piec napędzany energią słoneczną, już wytapia surówkę którą wypełnimy ładownie statku. Chcieliśmy, aby pan również zobaczył, co zrobiliśmy. Kolonia nie jest już zagrożona, i zanim statek będzie gotowy do powrotu, ukończymy sieć lądowniczą, tak by mógł pan dokonać jej odbioru.

Bordman powiedział z udręką:

– To bardzo dobrze. To wręcz doskonale. Umieszczę to w moim raporcie z przeglądu.

– Ale – powiedział Ralph, jeszcze bardziej ceremonialnym tonem, – mamy prawo, by zaliczyć zasługi dla członków naszego plemienia i klanu. Teraz...

Na moment zapanowało zmieszanie. Kuzyn Alethy wypowiedział kilka słów, które nic zupełnie nie znaczyły. Inni Indianie włączali się w określonych miejscach, niezrozumiale bełkocząc. Oczy Alethy jasno świeciły, i ona wyglądała na niesamowicie zadowoloną i usatysfakcjonowaną.

– Ale co... co to znaczy? – Kiedy w końcu przestali Bordman domagał się wyjaśnień.

Aletha przemówiła dumnie.

– Ralph właśnie formalnie zaadoptował pana do plemienia, panie Bordman – i do swojego, oraz również mojego, klanu! Nadał panu imię. Zapiszę panu jego dokładne brzmienie, ale oznacza ono mniej więcej: „Człowiek który sam nie wierzy w swoją mądrość”. A teraz...

Ralph Czerwone Pióro – dyplomowany inżynier międzygwiazdny, absolwent najbardziej szacownej politechniki w tym regionie galaktyki, człowiek noszący trzy orle pióra i ubrany w parę grubych sandałów i spódniczkę biodrową – wyciągnął skądś mały kubeczek z farbą i pędzel, i zaczął uważnie malować część konstrukcji, przygotowaną na następną warstwę stali. Na metalowej belce namalował pióro.

– To jest zasługa – powiedział przez ramię do Bordmana. – Pańska zasługa. Umieszczona tam, gdzie została zdobyta – tutaj, w górze. Aletha jest upoważniona, by ją poświadczyć. A wódz klanu, do pióropusza, który

nosi na radzie w Dużym Tipi na Algonka, doda nowe orle pióro, i — pańscy bracia klanowi będą dumni!

Później wyprostował się i wyciągnął rękę.

Chuka dobrodusznie dodał:

– Będąc ludźmi cywilizowanymi, panie Bordman, my Afrykanie nie dajemy żadnych niecywilizowanych piór. Ale my ... hmm ... raczej także pana zaaprobujemy. I planujemy corroboree w kolonii, gdy *Warlock* już wyląduje na dole, na którym będzie mnóstwo doskonałego śpiewania. Jest już... hmm ... pieśń, rodzaj chóralnego calypso, o tej... hmm... przygodzie, którą pan doprowadził do tak satysfakcjonującego zakończenia. To całkiem dobre calypso. Prawdopodobnie stanie się popularne na całkiem wielu planetach.

Bordman przetknął ślinę. Czuł się bardzo nieswojo. Wiedział, że powinien coś powiedzieć, ale kompletnie nie miał pomysłu, co.

Na szczęście dokładnie wtedy w powietrzu rozległ się basowy pomruk. Był to wibrujący dźwięk, przepojony nieokiełznaną mocą. To była tysiącośmusetstopowa sieć lądownicza, która podczas pracy wydawała taki basowy wibrujący odgłos. Bordman spojrział w górę.

*Warlock* schodził w dół.



Koniec